KLEMENS BĄKOWSKI

MIESZCZANIE I SZLACHTA

OBRAZ Z ŻYCIA W XVII. WIEKU

KRAKÓW — 1913
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI
WYDAWNICZEJ POLSKIEJ W KRAKOWIE

KLEMENS BĄKOWSKI

MIESZCZANIE I SZLACHTA

OBRAZ Z ŻYCIA W XVII. WIEKU

KRAKÓW — 1913
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI
WYDAWNICZEJ POLSKIEJ W KRAKOWIE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

OSOBY:

MICHAŁ KOWALSKI, kupiec.
JAN, STACH — jego synowie.
FREZER, kupiec.
BARBARA FREZEROWA, jego żona.
SALUSIA, ich córka.
Pani BORSKA z Borów.
HANKA, jej córka.
KATARZYNA JAGODOWA.
MIKOŁAJ ORKISZ, jej mieszkaniec.
BATORSKI, ekonom.
ANDRZEJ, pomocnik kupiecki.
HAŁASIŃSKI, PROSZOWSKI, SZABLIŃSKI — szlachta z okolic Krakowa.
PREZYDENT MIASTA.
KRÓL KURKOWY.
SENIOR STRZELCÓW.
JAKÓB, cyler, MACIEJ, służący — strzelnicy.
PACHOŁEK PREZYDENTA.
WOŹNY ZIEMSKI.
ŚWIADEK I. MIESZCZANIN I.
ŚWIADEK II. MIESZCZANIN II.
MIESZCZANIE, MIESZCZANKI,
BRACIA KURKOWI. CECHOWI.

Rzecz dzieje się w Krakowie.

AKT I.

Izba za sklepem Kowalskiego — w głębi nieco na lewo drzwi, w górnej części w drobne szybki oszklone, nieco na prawo krzesło i stół pisarski z przegródkami, księgi handlowe. Przy ścianie po lewej stronie półki z postawami sukna i materyi, paki, po prawej bliżej stołu okno w drobne szybki, potem drzwi, dalej paki, wagi i beczki — kilka stołków.

MICHAŁ.

(pisząc przy stole)

Stach! Stachu!

(klaszcze — po chwili:)

Stach! Stach! z nim zawżdy ambaras!

Stach! sam tu!

STACH.

(za drzwiami na prawo)

Idę, ojcze, zaraz!

MICHAŁ.

Wraz mi tu przychodź, co to za zwlekanie!

STACH.

(wpada z rusznicą z prawej strony)

Biegnę co żywo, jestem ojcze panie.

MICHAŁ.

Co to za *modus* w głowie waści świeci?

Odkądto ojciec ma czekać na dzieci?
Wołam i wołam — on: zaraz powiada!

STACH.

Darujcie ojcze — gość jest — jakoś nie wypada...
pan Orkisz różne prawił mi przygody —

MICHAŁ.

A ty mu wierzysz, boś jeszcze jest młody.
Gdzie tylko pieczeń z komina się kurzy,
jużci pan Orkisz komitywą służy,
łże dobrze, pije lepiej, najlepiej zajada
i historyje niestworzone gada!

STACH.

Prawda mój ojcze — ale jak poluje!

MICHAŁ.

Ten ślachcic zbytnio czasu ci zajmuje!

STACH.

Co za myśliwy!

MICHAŁ.

A ja waści radzę,
myśl ty o łokciu, o miarce i wadze.
Miast gonić myślą kozły i zające,
pleść o rusznicach, sokołach, nagonce,
pilnuj ty sklepu, co ci grosz przyniesie.

STACH.

Gwarzylim trochę — lecz dziś w interesie
do pana ojca pan Orkisz przychodzi...

MICHAŁ.

Do mnie interes? pewnie w kieszeń godzi...
O! państwo ślachta i z kupcem się wdaje,
kiedy w kieszeni grosza niedostaje...
Lecz mniejsza o to... przypadkiem się składa,
że taki ślachcic właśnie mi się nada
do pewnej rzeczy... zna się z okolicą...
Co mi się kręcisz po sklepie z rusznicą?
Rzuć mi to zaraz! Łokcia pilnuj! lady!

(STACH *stawia rusznicę w kącie)*

Gdzie Jasiek?

STACH.

Poszedł powitać sąsiady.

MICHAŁ.

Jak wróci do dom, niech tu do mnie wpadnie.
Te noty zaraz przepisz czysto, ładnie —

(STACH *bierze papiery skrobiąc się po głowie)*

Teraz niech Orkisz, skoro jest, przychodzi!

(STACH *zabiera prędko rusznicę i wychodzi na prawo — po chwili wchodzi temiż drzwiami* ORKISZ)

ORKISZ.

Służba moja waszmości!

MICHAŁ.

Jak się ma dobrodziej?
Witam waszmości — proszę — niech pan siada!
Jakiś interes, jak mi Stach powiada?

ORKISZ.

Lecz *ante omnia* słowo gratulacji,
że pan Jan wrócił już z peregrynacji
włoskiej! Toć radość mieć takiego syna!
Toż będzie narracyja! Nie jedna nowina!

MICHAŁ.

Jan skończył w Padwie *studjum generale*
i doktora wziął gradus!

ORKISZ.

Doskonale!
Będziemy mieli aże z Włoch medyka.

MICHAŁ.

Doktora *iuris*, nie zaś cyrulika!...

ORKISZ.

A! tak! rzecz inna! Nie wielę ja ważę
te cyruliki abo pigularze:
za lewatywy, proszki grosz zabiera,
a chory sobie jak zwykle umiera.
Inny szacunek jest *iuris* doktora:
to... może zawód mieć... prokuratora...
advocatus być może... albo też ławnikiem...

MICHAŁ.

Janowi na to nie patrzyć pewnikiem!
Pierworodnego na wsi mieć go wolę,
zawżdy to ślachcie *honeste* mieć rolę!

ORKISZ.

O! o! o! ślachcie, rolę... tego... panie...

rzecz słuszna... słuszna... jedno hm! pytanie,
jakimże herbem waszmość pieczętuje?

MICHAŁ.

Po cudzoziemsku herb nasz się mianuje,
od cesarza rzymskiego, mają go przodkowie,
od Karolusa... Schmiedhausen się zowie.

ORKISZ.

A! to po rzymsku... Specjes osobliwa,
nie jak nasz Topór, Gozdawa, Leliwa — —

MICHAŁ.

Pewnie, że inna, — lecz walor ten samy,
a klejnotowi ubliżyć nie damy
i myślę właśnie waszmości z tej racji
prosić do jednej ważnej mediacji...

ORKISZ.

Słucham i służę z ochotą waszmości...

MICHAŁ.

Pan Borski, sąsiad Mylnik, mojej włości,
ciągle jakoweś pretensye rości
tutaj o miedzę, tam o las graniczny,
znów list mi przysłał, dość... niepolityczny...
Intytułuje list do mnie »sławetny«!
»Sławetny«! Miast pisać »szlachetny
Panie a Bracie!« jako do ślachcica,
On mię »sławetnym« tytułem zaszczyca!
Mam *certas causas*, że mi nie wypada
zaraz rozumu nauczyć sąsiada,

chcę z panem Borskim załatwić bez złości,
na medjatora prosić zaś waszmości.

ORKISZ.

Służę z ochotą, rzecz się załagodzi.

MICHAŁ.

Waszmość wspominał, że z Rusi pochodzi,
lecz masz znajomość...

ORKISZ.

O! i konfidencje,
a nadewszystko to, — eksperiencję!
i koligacyj nie brak w okolicy,
bo dziad mój jeszcze rodził się w Stopnicy...
Krakowskie było Orkiszów kołyską!
stryjców mam tutaj i dalej i blizko.
Wolałbych i ja tutaj, niż na Rusi
mieć siedzibę, gdzie mię Tatar dusi!
Roku łońskiego tatarskie zagony
dwór mój spaliły, zrabowały plony,
dzierżawca uciekł nożami pokłuty,
no i rzecz jasna nie płaci tenuty,
na jesień ratę przyrzeka po zbiorze,
jeśli co zbierze. Daj mu Panie Boże!
Może hetmani pogromią Tatarów...
a tu mi trzeba z pół kopy talarów...
stąd miałem prosić waszmość w tej aferze...
Oddam w jesieni, gdy dzierżawca zbierze;
choćby on zawiódł, to wiadomo przecie,
że kasztelana zboże spławiam w lecie,

parę galarów pszenicy do Gdańska, —
więc nie zawiedzie płaca kasztelańska.

MICHAŁ.

Pół kopy zatem?

ORKISZ.

Na tę ciężką chwilę...

MICHAŁ.

Po święty Michał?

ORKISZ.

Tak, *verbum nobile!*

MICHAŁ.

Więc do jesieni waszmości pożyczę...
Hm! proszę.
(otwiera szufladę, dobywa worek i liczy na stół)
Lichwy waści nie policzę,
a nawet *pactum* korzystniejsze może
dla tej pożyczki waszmości ułożę:
rzecz z panem Borskim wpada mi w myśl właśnie.
Lecz to poufnie... zaraz was objaśnię...
gdy przeprowadzisz mą myśl obmyślaną,
to te talary przy waści zostaną.

ORKISZ.

Jestem uchem cały! Mów waszmość, proszę!

MICHAŁ.

Dość dawno z tą myślą się noszę...
Gdy syn Mylniki, moją włość, dostanie,
ma postanowić się w małżeńskim stanie,

rzecz jasna: wedle stanu i rodu godności,
przy tem ustalić granice swej włości
i z bracią ślachtą bliżej się pobratać —
więc pannę Borską pragnę mu wyswatać.

ORKISZ.

O! o!

MICHAŁ.

Co za o! o! Czy to dziedzic z Borów
dygnitarz jaki, abo z senatorów?
Czem ma być gorszy de Mylniki *haeres*?

ORKISZ.

Pewnie! hm! słusznie... lecz z nim będzie skweres!
Skory do sporów, człek hardy i dumny...

MICHAŁ.

Długów po uszy — niech będzie rozumny!

ORKISZ.

Nie ubliżając waszmości herbowi,
że cudzoziemski niższy Borski powie,
za skartabellów pewnie was uważa...

MICHAŁ.

Jan w kancelarji był w Wiedniu cesarza
i wyrobił dyploma, gdzie pisze *ab ovo*
że nie jesteśmy cale ślachtą nową,
lecz że Karolus cesarz nam przed laty
nadał ślachectwo i herb starej daty,
Sejm indygenat da nam bez wątpienia...

ORKISZ.

Hm! to coś znaczy... do zastanowienia...

MICHAŁ.

Tak! to coś znaczy. Ale znaczy więcej,
że Borski — winien mi parę tysięcy,
że kredytorzy dość mając czekania,
dali mi skrypta do egzekwowania.

ORKISZ.

To co innego!

MICHAŁ.

A z tego wypada,
że to jedyna dla Borskiego rada:
porzucić spory, rzecz załatwić zgodnie,
i w dożywociu pozostać wygodnie.
Dam sumy dłużne synowej na wiano,
w jednej ręce Mylniki i Bory zostaną.

ORKISZ.

Teraz pojmuję...

MICHAŁ.

Że zaś, rozumie się,
rzecz ta waszmości wydatki przyniesie,
czy na poczestne... czy na popas w drodze...
więc za to *extra* waszmości wygodzę.
(odlicza mu pieniądze)

ORKISZ.

Li na wydatki! na *expens*! dziękuję!
Już ja fatygi tu nie pożałuję!

MICHAŁ.

Myślę, fatyga nie będzie daremnie,

a waść *contentus* pewno będzie ze mnie.
Ręka rękę myje.

ORKISZ.

Noga wspiera nogę.
Okolicznościami — ja zrobię, co mogę...

MICHAŁ.

Trzeba politycznie...

ORKISZ.

Już ja to rozumię!

MICHAŁ.

W ostateczności przyciąć jego dumie
że mu na długi nie wystarczą Bory...
że zapłaty żądają jego kredytory
i dalsze zwłoki nie zdadzą się na nic.
Na list Borskiego, co do naszych granic
waszmość odpowiedź oględną zabierze,
że mam possesją z dawna w dobrej wierze.
Że są zatargi, nie z mej strony wina...
Muszę o rzeczy uprzedzić też syna,
lecz waszmość wie już, do czego się mierzy,
a stąd zmiarkujesz, jak gadać należy.

ORKISZ.

Plan już mam. *Primo* o tem będzie słówko
że waść o tytuł przysyła z wymówką.
Rzecz tu wywiodę *de nobilitate*
waszmościów *et de diplomate.*

MICHAŁ.

Tutaj na miejscu powiedzieć byłoby,

że nie do jego odnoszę osoby
brak circumspekcji w intytulaturze,
że jego pisarz pomylił się w piórze,
że wina jego to manualisty,
iż nie wie, jak ma tytułować listy,
może ten pisarz był gdzie czeladnikiem
i mniemał, że ma do czynienia z łykiem!

ORKISZ.

Tak będzie dobrze. Ja mam kalkulację:
niech Borski większą ma imaginację
o ślachectwie waszmościów — *et caetera.*

MICHAŁ.

Niechże więc waszmość do drogi się zbiera!
Jutro — pojutrze — dam konie z mej włości. —

ORKISZ.

Jestem *paratus* do służby waszmości.

STACH.

(wchodzi z prawej strony w jednej ręce papiery, w drugiej chowa za siebie rusznicę)
Już przepisane...

MICHAŁ.

Połóż to na stole,
weź księgę główną, zesumuj na dole,
potem weź *strazzę* i przenieś do księgi.
(wychodzi)

STACH.

Oj, to pisanie! To są na mnie cięgi!
Hej, panie Mikołaju! Spojrz na tę rusznicę,

przypatrz się waszmość mojej mechanice:
zrobiłem pręcik do hupki ze stali,
kiedy przycisnę, hupka proch przypali
i bęc!

ORKISZ.

Pokaż!!

STACH.

Tu hupka się zakłada,
a jak pociągniesz, na panewkę spada —

ORKICZ.

Jak Boga kocham — zaledwo wyceli,
już hupka spada!

STACH.

I zaraz: bęc! strzeli.

ORKISZ.

Prawda! Wnetki wypróbować muszę!
Teraz bądź zdrowy, czuję w gardle suszę,
trzeba zakropić — już gadania *satis*,
muszę pomyśleć *de rebus privatis.*
(Żegna się ze STACHEM *i wychodzi* — STACH *siada za stołem, układa księgi i zasiada do pisania — z prawej strony wchodzą* MICHAŁ *i* JAN — *ten w czarnym włoskim stroju).*

MICHAŁ.

Czasu nie braknie na dalsze witanie...
Domowe rzeczy, mam ci tu rzec Janie...
*(*JAN *podaje krzesło,* MICHAŁ *siada,* JAN *stoi przed nim)*

Jakoć mówiłem, na roli osiędziesz
i ty dziedzicem na Mylnikach będziesz.
Bóg błogosławił mej pracy łaskawie
więc obu synom dostatek zostawię.
Jestem już stary...

STACH.

Co też ojciec gada!

MICHAŁ.

Dzieciom ustalić los, myśleć wypada...
Jeśli pożyję z Boską wolą dłużej,
Stachowi radą, młodszemu, niech służę,
on kamienicę bierze, klientelę,
sklep i zapasy, z tem zachodów wiele!
Ale przy pracy, pewnie z woli Bożej,
jak się majątek dorobkiem przysporzy,
synowi swemu. —

STACH.

Ho! ho!

MICHAŁ.

— Włość nabędzie,
znów wnuk na roli jak ślachcic osiędzie,
Mylniki zatem weźmiesz Janie sobie,
w ziemskim urzędzie donacyję zrobię,
wieś ma porządki... dwór, stajnia, stodoły...
i co tam bywa... pługi, krowy, woły...
Ekonom stary wierny, co się zowie,
i Stach doglądał, choć ma fiu! fiu! w głowie,
a bardziej patrzał na bicie zajęcy...
Kiedy osiędziesz, wieś przyniesie więcej.

JAN.

Jak ociec każe.

MICHAŁ.

Tak się dobrze stanie...
Do tego żonę mam dla ciebie Janie.

JAN.

Rzecz późniejsza.

MICHAŁ.

Rzecz pilna.

JAN.

To potem
pomyślę...

MICHAŁ.

Ja zaś myślałem już o tem:
trzeba ci żony, co wyrosła z roli,
to mir u ślachty uzyskać pozwoli,
ślachta się krzywo patrzy na nas z miasta,
kole ją w oczy, że ktoś im dorasta,
żeniąc się z Borską...

JAN.

Nigdy nie widziałem!

MICHAŁ.

Wejdziesz w stosunki z województwem całem...

JAN.

To chyba później.

MICHAŁ.

Rzecz już obmyślana.

JAN.

Może za nagle — panna mi nieznana
pierwejby trzeba...

MICHAŁ.

Zrzuć ten strój fizyka,
wyglądasz wasze w nim na cyrulika!
Każ sobie polskie wnet zrobić ubranie —
reszta na mojej głowie pozostanie.
A że Stachowi krzywdy też nie zrobię,
mam i dla niego małżonkę.

STACH.

Masz tobie!

MICHAŁ.

W mieście, wiadomo, pieniądz, to rzecz główna,
Stachowi — patrzy się więc Frezerówna.

JAN.

Panna Salomeja!

STACH.

Przyszłoż na myśl komu?

MICHAŁ.

Panienka piękna, jedynaczka w domu,
ociec zamożny ma kamienic parę...
z południa pójdziem do nich *visitare.*

STACH.

Nie mam ochoty...

MICHAŁ.

(wstaje z krzesła)

Gdy się pożenicie,
spokojnie mogę zamknąć moje życie!

(odchodzi na prawo)

JAN.

(chodząc tam i napowrót)

Corpo di Bacco! Krótko, węzłowato.

STACH.

Ciężka będzie sprawa...

JAN.

Cóż ty Stachu na to?

STACH.

Jestem *perplexus* — zdziwiony nie mało,
a to tem bardziej, że mi się tak zdało,
że ty na pannę patrzysz Salomeję...

JAN.

Dobrze ci się zdało!

STACH.

Lecz nie trać nadzieje.
Nie przeczyć ojcu, aż przyjdzie *momentum*,
że jakieś znajdzie się *impedimentum*,
tylko przewlekać!...

JAN.

Zda się rzecz jedyna...
A ta ślachcianka? cóż to za dziewczyna?

STACH.

Ja nie słyszałem dotąd ani słowa,
to zamysł świeży, myśl ojcowska nowa,
i myśl mi wpada, że w sprawie tej ślachty
ociec z Orkiszem miał dziś tu konszachty...

JAN.

Co to za Orkisz?

STACH.

Wyga doświadczony,
sprzedaje konie, godzi sporne strony,
gra w kości, pije, spławia Wisłą zboże,
sprowadza nabiał, zarabia jak może,
wszędzie jest znany, niema interesu
bez imć Orkisza, ani też procesu.
Duża fantazja, za to grosza mało,
ale myśliwy!! to — już gębą całą!
A co za kompan! jaka w gębie swada!

JAN.

Więc może o tem z nim gadać się nada?

STACH.

Pewnie, że można... taka sprytna sztuka
Borskiego, ojca, jak zechce, oszuka.

JAN.

Gdzież jego znaleźć?

STACH.

Na Szewskiej ulicy
U Jagodzinej mieszka w kamienicy.

My go obrobim, ale zato, bracie,
w Mylnikach zawżdy polować mi dacie?

JAN.

Bez obietnicy, zawsze, bez pytania
strzelaj, używaj tego polowania!
Nie mam afektu cale do zwierzyny...

STACH.

(oglądając ruszznicę)

Tu trzeba będzie przydłużyć sprężyny...

JAN.

Pomów z Orkiszem...

STACH.

On mi wszytko powie!
Trzeba ją nagiąć trochę ku przodowi...

JAN.

Tymczasem zwlekać.

STACH.

...Przedłużyć wypada,
wprost na panewkę...

JAN.

Może się wygada,
czy mu pan ociec dał jakie zlecenia?

STACH.

Już ja się dowiem...

(mierząc ze strzelby)

Bliżej do ramienia...
a prosto oka kiedy się z nią złożę!...

JAN.

Albo pogadam sam z Orkiszem może?
Co Stachu?

STACH.

Można, na mnie się odwołaj,
a dla mnie wszytko zrobi pan Mikołaj.

JAN.

Więc do widzenia!

(odchodzi na prawo)

STACH.

Ta szelma sprężyna
nadto ku lufie ciągle się mi zgina...
Nie dam jej rady — trzeba rusznikarza...
Teraz do pióra i do kałamarza.

(odkłada rusznicę)

Och to pisanie!

(bierze napowrót rusznicę)

Rusznikarz to składnie
zrobi, że hupka na panewkę spadnie...
Na ptactwo *exquisita*... migiem strzeli...

(odkłada rusznicę, pisze)

Żebyśmy trochę tylko czasu mieli!...
Gdyby tak jeszcze gdzie dostać sokoła!...
Szukał i Orkisz napróżno dokoła...
Nie można dostać w naszej okolicy...
Lecz za to lepszej nie znajdzie rusznicy!
Jak tylko skończę to pisanie lube,
wyjdę na ogród i huknę na próbę —
wymyślać ociec wprawdzie będzie wiela,

ale się dowiem, jak rusznica strzela...
Orkisza zbadam... Jankowi dogodzę,
o Salcię cale nie stanę mu w drodze.
Tu się odwlecze, tam się zwłokę zrobi,
ojca inaczej znów się usposobi...

(Drzwiami w głębi wchodzi ANDRZEJ, *za nim* BORSKA, HANKA*)*

ANDRZEJ.

Proszę jejmoście, tutaj — tu są specyjały
tureckie, perskie — zamorski kram cały,
proszę jejmoście: aże ślinka płynie,
postaw jedwabiu gdy się tak rozwinie!

(bierze z półek postawy jedwabiu, sukien etc. i rozwija pokazując)

Proszę jejmoście: tu są altembasy,
na nich wytkane różne wywijasy —
proszę jejmoście: gęsto złotem tkany
przedziwnie miękki, z Multan sprowadzany...
Proszę jejmoście:

BORSKA.

Waść zbyt gębą miele!
Dosyć pokazać, co tak gadać wiele!

HANKA.

Matulu! jakie to piękne, czerwone!

ANDRZEJ.

To znów z Wenecji aże sprowadzone:
hatłas prawdziwy. Jeden jest wenecki,
drugi znów lżejszy, ten się zwie turecki...

Proszę jejmoście: proszę wziąć do ręki:
spróbować w palce...

HANKA.

Jaki gładki, mięki!

ANDRZEJ.

Abo tu proszę: tureckie muśliny!
To specyjał! Istne pajęczyny!
Ale to lekkie, tylko na podbicie,
cięższe zaś rzeczy służą na pokrycie.
O! to proszę: to mi materyjał!
Adamaszek szkarłatny, to specyjał!

BORSKA.

O rety, rety!

HANKA.

To cudne! aż miło
patrzeć.

ANDRZEJ.

Co? Prawda? Toby się nosiło?!
Mocne jak powróz, a trwałe w kolorze,
biskup na ornat śmiało to wziąć może.

HANKA.

To także śliczne...

ANDRZEJ.

Proszę rzucić okiem
jak się to mieni, kiedy spojrzeć bokiem?

HANKA.

Prawda, jak tęcza!

BORSKA.

Ileż to cenicie?

ANDRZEJ.

Po dukacie łokieć.

BORSKA.

Chyba sobie kpicie?
Tożby za postaw taki wieś zakupił!
Jakby to kupiec zaraz ślachtę złupił!

ANDRZEJ.

Przecież z za morza...

HANKA.

Kupcie matuś które...

BORSKA.

Pleć baju! Toż on łupi skórę!

STACH.

(wstając od stołu wsparty na rusznicy)
Wolno kupować, jeśli jest ochota —
język hamować bywa zasię cnota...

BORSKA.

A cóżto? Ślachcie przymawiać będziecie?

STACH.

*(*ANDRZEJ *daje mu z poza* BORSKIEJ *znaki, aby się uspokoił)*
Kto płaci, dla mnie równy drugim w świecie,
zresztą ja ślachcic jak wy, taki samy!

BORSKA.

Patrzcie! ślachcic, o! a kupczy płachtami!

STACH.

Tak jejmość, ślachcic w sklepie, starszy może
niźli niejeden, co siedzi we dworze.
Nam rzymski cesarz Karolus, przed laty
nadał ślachectwo i herb starej daty;
mamy dyploma, gdzie pisze *ab ovo*
że nie jesteśmy cale ślachtą nową!

BORSKA.

Cie, cie!

HANKA.

Niech matuś nie swarzy...

ANDRZEJ.

Panie
oglądną inne, dobre, piękne, tanie,
proszę jejmoście: te z bliższej krainy,
też zacne, a tańsze tkaniny.
Jużcić jaksamit, zamorskie bławaty
tkane w floresy i wzorzyste kwiaty
kosztują drożej... lecz są inne przecie!
Zobaczą jejmość, że tańsze znajdziecie...
Proszę jejmoście!
(gdy pokazuje materye BORSKIEJ, HANKA *spostrzega rusznicę* STACHA *i bierze ją do ręki, waży:)*

HANKA.

Zaciężka na ptaki!

ANDRZEJ.

(do BORSKIEJ*)*

Nie bawełnianka, lub alherunt jaki!

STACH.

Jużci dla panny za ciężka jest taka!
Chyba z jedwabiu, albo z piórka ptaka!

HANKA.

Nie o to chodzi!...

ANDRZEJ.

(do BORSKIEJ*)*

Gładkie, piękne, trwałe!
Pięć złotych łokieć... aj! to doskonałe!

HANKA.

Bo kiej potrzeba, nie braknie mi siły,
już i oszczepy w mojej ręce były,
strzelałam nieraz z garłacza, półhaka, —
lekka rusznicka konieczna na ptaka,
trza prędko nabić, złożyć się swobodnie,
celić, przypalić — więc z lekkiej wygodnie —
zresztą na ptaki niemasz nad sokoła!

STACH.

Oj! szukam go, szukam już dawno dokoła!

HANKA.

Mam dwa sokoły, co za łowne ptaki!

STACH.

To jejmościanka jakby łowczy jaki!...

HANKA.

Jak ino ranek zaświta wesoły
hajże na konia! w kapturki sokoły —

i w pole! między trawy, trzciny, łozę, —
wnet torbę ptactwa tatulowi wiozę.

BORSKA.

(do ANDRZEJA*)*

I tak to drogo...

STACH.

(do ANDRZEJA*)*

Licz Andrzeju taniej.

(do HANKI*)*

Z pieskiem polować także lubi pani?

HANKA.

Jużciż, jakżeby? siędę na konika,
sfora przede mną — zając bruzdą zmyka, —
a pieski naprzód! chocia zając z dala,
wnet go dognają — halala! halala!

BORSKA.

A to co znowu?! Co to znaczy Hanka?

STACH.

O polowaniu raczy prawić jejmościanka...

BORSKA.

(do ANDRZEJA*)*

No, więc to kupię.

ANDRZEJ.

Ta cena nie staje...

STACH.

Weźmij Andrzeju, ile jejmość daje!
(*do* HANKI)
Niemasz to, niemasz jako polowanie!

HANKA.

Bo nad myśliwstwo żaden smak nie stanie!
Ileż to razy człek zziębnie do szpiku,
i ukołace cały na koniku,
nieraz się zleci i potłucze kości,
często nie dośpi, bo wstaje w ciemności
podchodzić głuszca przy porannym świecie, —
gęsto nie doje — to myśliwskie życie!

(STACH *kiwa głową potakująco podczas słów powyższych*)

STACH.

Jak z serca wyjął!
(*do* ANDRZEJA)
Niech waść tanio liczy!

HANKA.

Ale psy dobre muszą być na smyczy,
nie lada jakie, byle zbieranina,
żeby umknęła przed nimi zwierzyna —
węch muszą mieć do nalezienia,
siłę i rozum, ochotę gonienia,
i węch za wiatrem!

STACH.

Jakby z kazalnicy!

HANKA.

Kiedy pies węch ma, nigdy po próżnicy
nie goni darmo, lecz za tropem szuka.

STACH.

Jak z książki! Tylko psy takie mieć sztuka.

HANKA.

Jak jeden dobry, za nim idzie drugi,
za drugim trzeci uczy się posługi,
ale pracy potrzeba, mieć pilne staranie,
to sforę rączą, pewną się dostanie.

BORSKA.

Patrz tutaj Hanka! ten kawał kupiony.
(do ANDRZEJA*)*
Daj waść na bryczkę...

STACH.

Sługa uniżony...
Gdzież jejmościanki sokoły i sforę
możnaby ujrzeć?

HANKA.

Zwykle w każdą porę
we wtorki w Borach na Brzeskiej granicy
w soboty zasię w Mylnik okolicy...
*(*BORSKA *i* HANKA *idą ku drzwiom w głębi, za niemi* ANDRZEJ *niesie zwój materyi)*

STACH.

(do ANDRZEJA*)*
Spytaj furmana, jako się mianuje...
Czy to nie Borska, gdy w Borach poluje?

Co za dziewucha! to istna Dyjana —
jak mądrze mówi! To rzecz niesłychana!
Zna się na rzeczy, jak pierwszy myśliwy.
To ci dziewucha! przecież to są dziwy!
W kąt Orkisz nawet, jako ona gada!

ANDRZEJ.

(wracając)

To panie z Borów, jak furman powiada.

STACH.

Takci myślałem. Słyszałeś jak prawi?
Co? Jak zna myśliwstwo?

ANDRZEJ.

Niech to pan ostawi —
trzeba pamiętać, panie Stanisławie,
że ten pan Borski ciągle z nami w prawie,
wciąż z panem ojcem prowadzi procesa.
A pan Stach dobre robi interesa,
bo ciągle z ceną materyji spada,
że panna Borska dużo o psach gada!

STACH.

(z politowaniem)

Ty się rozumiesz Andrzeju na rzeczy!

ANDRZEJ.

Jużci psów nie znam, temu nikt nie przeczy.
(porządkuje materye).

STACH.

(do siebie)

Co za niewiastka! Więc to ta wybrana

przez pana ojca na małżonkę Jana!
A Frezerównę, co jest w sercu brata,
znów nie pytając ociec mnie ją swata...
Hm! hm! czekajmy... będziemy widzieli...
(po chwili)
Pójdę spróbować, jak rusznica strzeli!
(wychodzi na prawo)

ZASŁONA SPADA.

AKT II.

Izba w domu Frezerów. Pułap belkowany. Na ścianach portrety, lutnia, arfa, rusznica, szable, kusza, obrazy. Pod ścianami skrzynie do siedzenia nakryte kobiercami — stół, parę stołków.

FREZER, BARBARA FREZEROWA, SALCIA FREZERÓWNA.

(FREZER *pisze przy stole, przy nim parę ksiąg)*

BARBARA.

Znowu nadchodzi do kurka strzelanie,
znów królem strzelców kto inny zostanie,
bo pan mąż nie ma żadnej ambicyji,
nie dba o honor całej familiji,
rachuje ciągle, ile ma w kieszeni,
lecz się nie ćwiczy, do strzelby się leni!
Zamiast się ćwiczyć w rachunków pisaniu
idź na celestat ćwiczyć się w strzelaniu!

FREZER.

Idę już, idę!

BARBARA.

Idzie! ale pisze!
Skończże raz przecie!

FREZER.

Kończę, kończę! Słyszę!
Gdyby rachunków, ksiąg się nie pisało,
toby na wasze zbytki brakowało...

BARBARA.

Zbytki! no proszę! Że człek ma ubranie,
jakie w kupieckim należy się stanie,
że kapkę złota, dyjamentów parę
włoży na święto w jaksamity stare,
to zaraz zbytki! Ot! męskie. gadanie!

FREZER.

Mąż nie gadaniem, lecz żywi swą pracą —
wciąż celestatem głowę mi kołacą,
paplą o strzelbie, jakoby żołnierze —
baby o strzelbie! śmiech doprawdy bierze!

BARBARA.

Baby! no proszę! poćciwie się radzi
i z serca — on się jeszcze z nami wadzi,
a o honorze nie pomyśli chwili!
Toć przecie młodsi już królami byli,
taki Styczyński — albo i Masłowic,
Kirchmajer, Pieróg, Słoński i Stachowic;
ty, zacny kupiec, rajca na ratuszu
nic królewskiego nie masz animuszu!

FREZER.

Nie dość, że królem komuś zostać chce się,
potrzeba trafić — a Bóg kule niesie!

BARBARA.

To trafiaj, wymierz! kto dobrze wymierzy,
ten trafi w samo centrum jak należy!
O! gdybym to ja na twem miejscu była,
od razu w centrum samobym mierzyła!

SALCIA.

Niechże więc ociec centrum ma na oku,
i zbije przecie kura tego roku!

FREZER.

To pęknąć można... i żona i córka
obie chcą trafiać w strzeleckiego kurka!

BARBARA.

Tu niema śmiechu, żeby honor domu
dawać z pod nosa zabrać byle komu!
Czy ja nie mogę być strzelców królową?

FREZER.

Otóż to właśnie trafne rzekłaś słowo!
Tobie to pachnie królestwo to skrycie
i stąd tym kurkiem głowę mi suszycie!
Lecz dość już tego. Zbyteczne gadanie,
komu traf służy, ten królem zostanie!
Chęć nie wystarczy. Ot łońskiego roku
mierzę, celuję, mam kurka na oku,
trzymam rusznicę mocno, siłą całą,
by przypalając w ręce mi nie drgało,
przybliżam hupkę wolnym, pewnym ruchem,
a tu: pściuch! kichnął Styczyński za uchem.
Drgnąłem stropiony, więc kurka chybiłem
i cylerowi łydkę przestrzeliłem!

Dostał dukata... tak się czasem dzieje...
A cyler dotąd na nogę kuleje...

SALCIA.

Niech tylko ociec mierzy! Proszę taty!

BARBARA.

Zakaż im kichania!

FREZER.

A przed dwoma laty
także mierzyłem w kurka doskonale
i że go zbiję, byłem pewny cale:
wycelowałem powoli, po trochu,
lecz zbyt mocnego nasypali prochu...
Jak huknie nagle! Panie Boże święty!
tydzień chodziłem na gębie spuchnięty,
gwiazdy mi błysły w dzień na niebie całem,
gdy w gębę kolbą rusznicy dostałem,
szczęściem, że zęby nie doznały szwanku!

BARBARA.

Zrobiłam zaraz okład ci z rumianku —
teraz zbij kurka, jako doświadczony
dla honoru własnego i honoru żony...

FREZER.

Dość teraz tego, cicho mi ichmoście!
Słyszę ktoś idzie... idą do nas goście.

(*Wchodzą* MICHAŁ, JAN *i* STACH KOWALSCY)

MICHAŁ.

Pomagaj Boże całemu domowi!

JAN, STACH.

Służba waszmościów!

(witają się)

FREZER.

Witajcie nam zdrowi!

JAN.

Służka jejmości...

(STACH *ogląda po ścianach rusznicę, szable, etc. brzdąka w struny lutni)*

BARBARA.

A! pan Jan kochany!
Witaj nam, witaj z podróży dalekiej!

SALCIA.

Toćmy już pana nie widziały wieki!

JAN.

Trzy lata całe minęły od chwili,
gdy mię pan rodzic w podróż wyprawili,
lecz mnie te lata dłuższemi się zdały,
bo myślą, sercem, tutaj byłem cały.
Morza, błękity, czy cuda obczyzny
nie zacieniły mi nigdy ojczyzny,
w dom, do sąsiadów, ciągnęła ochota
i czoło nieraz chmurzyła tęsknota,
póki mi wieści poczta nie przyniosła...
A panna Salomeja jak urosła!

FREZER.

Tak! tak! Wyrosła nam Salka kochana!

SALCIA.

Myśmy tu także wspominali pana...

FREZER.

Pan Michał nieraz przyniósł wiadomości,
które wyczytał w listach od waszmości —
teraz nam sami inne opowiecie —
siadajcie proszę!

BARBARA

Rozgośćcie się przecie!

FREZER.

Pan Jan wygląda i czerstwy i zdrowy!...
Dajcież przekąskę jaką białogłowy!
podajcie dzbanek, kubki czy szklanice.

*(*SALCIA *wnosi na tacy dzbanek i szklanice nalewa).*

FREZER.

(do STACHA *oglądającego rusznice)*
A pan Stach zawsze ciągnie do rusznice!

STACH.

Dobry kawałek — ładny grawirunek.

BARBARA.

Proszę waszmościów — przekąska i trunek.
(Siadają — piją i jedzą)
Miód wprawdzie cienki, ale czysty, zdrowy,
wiśnią sycony, roboty domowej.

MICHAŁ.

Trzeba spróbować, bo może niedługo

beczkę musicie dobyć jedną, drugą,
i trzecią z głębin piwnicy mospanie,
gdy waszmość królem kurkowym zostanie.

FREZER.

Jak Bóg pozwoli, to nie pożałuję...
Ale i waszmość o to konkuruje,
lecz nie mam żalu przecież o to cale,
wolność każdemu — *ius municipale!*
Lecz jeśli waszmość kura zbije strzałem,
z większym i lepszym wystąpisz antałem,
bo o fortunie, wiedzą to sąsiedzi,
jak pan Kowalski, chwała Bogu, siedzi!

MICHAŁ.

Żarty mospanie. U pana Frezera
wiedzą sąsiedzi, co skrzynia zawiera!

BARBARA.

Niech ino trafi, to już obaczycie,
że ugościmy wszytkich należycie.

STACH.

Żeby to tak mnie do strzelby puścili!
Strzępyby z kura były w jednej chwili!

MICHAŁ.

Jeszcześ za młody — przyjdzie na cię kolej.
(do FREZERA*)*
Wyborny miodek! jeszcze waszmość dolej!
(do STACHA*)*
Jan, jako starszy wpisany już w księgi,
pierwej spróbuje sprawności swej ręki.

JAN.

Chętnie pierwszeństwo oddałbym Stachowi...

SALCIA.

Niechajże teraz pan Jan nam opowie
o włoskich krajach, o swojej podróży.
Ponoś tam zawsze upał bywa duży?

JAN.

Cieplej to prawda, ale za to zima
dokucza czasem, bo tam pieców niema.

FREZER.

Zacznij z początku, zacny nasz sąsiedzie,
kędy, którędy i jak się tam jedzie.
Ja bo wszytkiego byłem raz w Pinczowie,
raz we Wrocławiu, w Sanoku i Lwowie —
Popłukaj gardło, nie oszczędzaj słowa,
bo kompanija słuchać cię gotowa!

SALCIA.

(nalewając)

Opowiadajże panie Janie! okrutnieśmy ciekawi!

JAN.

Ano według życzenia. A jak was gadka moja nudzić zacznie, to rzeknijcie wprost.

FREZER.

Pij pan, panie Janie, żeby ci w gardle nie wyschło!

JAN.

Otóż otrzymawszy ten fawor z życzliwej jego miłości pana ojca dyspozycyji, który prócz sump-

tów na nauki łożonych, z wielkim kosztem odważył, abym w cudzoziemskiej prowincyji zdrowej szukał experjencyji, wziąwszy benedykcyją ojcowską i kapłańską, wyjechałem przez Morawy na Wiedeń.

BARBARA.

Widział waszmość cesarza?

JAN.

Byłem jeno w kancelaryji cesarskiej po konfirmacyją szlachectwa, naszemu przodkowi nadanego, wizytowałem co nieco miasto i kościoły pańskie. Zamek nie ma majestatu cesarskiego, ale skarb w nim wielki, klejnoty, korony, różne artificja z kości słoniowej, piktury, rynsztunki, relikwie święte. — Stamtąd jachałem do Gracu. Tu zamek na skale wysokiej. Potem droga przez Karniolij, a ludzie tu mają język podobny, że po polsku się z nimi rozmówi.

SALUSIA.

Dziwo! Tak daleko od nas!

JAN.

Potem przez Furlandyją, gdzie już ciepło *sensibiliter* większe, przez Gorzyce, skąd już niedaleko morza. Tak dojechałem do Wenecyji.

FREZER.

Słyszałem, słyszałem, miasto na morzu.

JAN.

Takci jest. Zamiast gościńców kanały, a przez

nie 400 mostów. Gonduł, abo łódek, mówią, że jest pół sta tysięcy *ad usum continuum.* Dużoby opowiadać! Z Wenecyji jechaliśmy do Padwy barką. Barkę ciągną kanałem konie, dwie librze od persony się płaci — jedna libra czyni 12 groszy. — W Padwie stanąłem gospodą *a la colomba bianca.* Tu wziąłem się *ad praelectiones.* Nacyja polska ma swój ołtarz i sklep do pogrzebów w kościele bardzo cudnym św. Antoniego.

FREZER.

A był kto prócz waszmości, z naszej nacyji?

JAN.

Było paniąt kilkoro, którzy razem się trzymali, mając mię za plebeja. Dopieroć dyplom cesarski obaczywszy, w innej zaczęli mię trzymać estymie, aleć więcej patrzeli oni na *voluptates* i podróże, jak na *praelectiones.*

STACH.

A jako tam z myśliwstwem?

MICHAŁ.

Masz go!

JAN.

Łapią zwierzynę i ptaszęta na sieci, jedzą skowronki, czy wróble, choćby i słowiki, to całe ich łowy.

STACH.

A grubsza zwierzyna jest?

JAN.

Sprowadzają złowioną na *ludi*: wołu a niedźwiedzi szczują potem psami brytańskimi, wołowi głowę ucinają. Myśliwstwa z ogary po knieji, jak u nas, nie znają.

STACH.

Widać nacyja zupełnie bez animuszu.

JAN.

Prawda. Najwięcej lubią strzelbę do gołębi — strzelałem i ja do nich niezgorzej.

MICHAŁ.

Dają jakie nagrody?

JAN.

Zwykle płaci się jak w handlu od strzału, czasem dają nagrody z tego, co się wpłaca. Wygrałem raz dukata, raz tę szpadę.

BARBARA.

To króla kurkowego nie mają?

JAN.

Tego obyczaju nie znają. Słyszę, że jegomość pan Frezer o tę godność na ten rok emuluje, dużo ma treferów, ale i pan ociec i pan Danigiel i pan Stawowski nadziei nie tracą.

FREZER.

Jak Bóg da! jak Bóg da! A i pan Jan, ledwo przyjechał, a już był na celestacie?

JAN.

Stach taki pilny do strzelby — zaraz mię tam zaciągnął.

SALUSIA.

A jako się tam Włoszki ubierają?

JAN.

Jak nasze, co je jejmościanka w Krakowie widuje. Zajść u nas w niedzielę do kaplicy włoskiej u Franciszkanów, to tak jakbyś był we Włoszech.

SALUSIA.

A ładne te włoszki?

FREZER.

Ot! białogłowskie pytanie!

STACH.

Wcale mądre...

JAN.

Póki młode, to ładne, ale rychło u nich ta piękność przemija.

MICHAŁ.

A opowiedzno ichmościom o tych komedyjach, bo to u nas nie zobaczy takich wspaniałości.

JAN.

Spotyka się i u nas w czasie jarmarku rozmaite kunszty, jak mężczyźni i białogłowy na powrozach tańcują, łomiąc się rozmaicie, wieszając się za ręce, abo nogi, spuszczając się we

wszytkim impecie na dół, ale tam czynią to z kosztownymi strojami i komedyjami, *praesertim* w mięsopusty *in theatro*, ze śpiewami i muzykantami. Okazują fortunę latającą, morze burzące się, pioruny z ogniami *ad vivum* okazane, smoki latające i żaby tańcujące!

BARBARA.

Dziwy! dziwy!

JAN.

W maskarach wielkie mają upodobanie, których i ludzie stateczni i białogłowy pod ten czas z wolnością wielką zażywają, a najwięcej trawią w muzykach różnych. — Każdy prawie przy lutnie śpiewać umie różne piosenki.

SALUSIA.

A nauczyłeś się pan jakiej?

JAN.

Uczyło się *institutiones Justiniani, studium philosophicum, repetitiones* — to na śpiew nie było czasu. Ot ze słuchu czasem coś zarwało ucho...

SALUSIA.

Ta włoska mowa jest bardzo gładka, trochę ją nawet rozumię, bo się osłuchałam u państwa Dzianottich, Delpacych...

JAN.

Bardzo udatna i do śpiewu sposobna, a Polacy łacno uczą się po włosku, że ten język

do łacińskiego podobny, a Polacy są w łacinie *periti*.

SALUSIA.

Zaśpiewajże nam pan coś po włosku!

JAN.

Wedle życzenia jejmościanki, ale za to poprosimy potem pannę Salusię, aby nam coś zaśpiewała. Dawno już nie słyszałem polskiego śpiewu.

SALUSIA.

Ja także nie uczona, to jakbym się wydała po Włochach?

JAN.

Słowik zawżdy się podoba! Ale ja zupełnie nie uczony...

FREZER.

Nie oglądaj się waszmość na jej gadanie, lecz śpiewaj jak umiesz.

STACH.

A pamiętaj, żebyśmy ci potem nie zaśpiewali, jak w kolendzie:

»Dobył tak pięknego głosu baraniego,
że aż stary Józef przeląkł się od niego!«

JAN.

(bierze lutnię ze ściany i nuci)

Pastorella ove t'ascondi,*)
Dove fuggi, ahimè che fai?
Torna indietro, o almen rispondi
La cagion perchè tu vai.
Ferma il passo, non fuggire:
Non voler farmi morire.

BARBARA.

Bardzo cudne!

SALUSIA.

Bardzo! bardzo!

JAN.

Teraz prosimy jejmościankę pannę Salusię, aby nam coś przy lutni abo przy arfie zanuciła...

FREZER.

Zabrząkaj, zabrząkaj nieco i zaśpiewaj co z Sobótki pana Kochanowskiego... może: »Wsi spokojna, wsi wesoła«! abo... co tam chcesz zresztą.

SALUSIA.

(bierze arfę i śpiewa)

Komum ja kwiateczki rwała,**)
a ten wianek gotowała?

---

*) Pasterko moja, gdzie się ty kryjesz,
Dokądże zmykasz, co robisz?
Zawróć kochana — przynajmniej podaj
Powód, dlaczego odchodzisz.
Wstrzymaj twe kroki i nie uciekaj,
Nie każ mi przez to umierać!
(Canzonetta di Filippo Vitali, anno 1618).

**) Z Kochanowskiego.

tobie miły, nie inszemu,
któryś sam mił sercu memu!
Żadna chwila ta nie była,
żebych cię z myśli spuściła,
i sen mię pracy nie zbawi,
śpię, a myślę by na jawie.
Tę nadzieję mam o tobie,
że mię też masz za co sobie,
ani wzgardzisz chucią moją,
ale mi ją oddasz swoją...

MICHAŁ.

Exquisite!

JAN.

Brava! Bravissima!

Wpada zadyszany ekonom BATORSKI.

Panie dziedzicu! szukam w mieście całem..
doma pana dziedzica nie zastałem...
biegam i pytam tu i tam po mieście,
aż języka o panu dostałem nareszcie...
Tchu mi brakuje... pot się ze mnie leje...

MICHAŁ.

No mówże wasze, co się na wsi dzieje?

BATORSKI.

Dech mi zaparło!...

FREZER.

Dajcie no mu kubek,
niech łyknie miodu! Nalać mu po czubek!

BATORSKI.

(wypiwszy)

A!... Pan Bóg zapłać!....

(gładzi się ręką po piersiach)

Bo to okropności,
panie dziedzicu, mam donieść waszmości.
Siadłem na konia na oklep w pośpiechu
i pędzę z Mylnik w galop bez oddechu...

MICHAŁ.

No mówże wreszcie, co się na wsi stało?
Czy bydło padło, czyli co zgorzało?

BATORSKI.

Panie dziedzicu! toby było mało!
Ale gwałt panie! Gwałt i rabusiostwo!

MICHAŁ.

Czyżby rabusie napadli domostwo?!
Tego w tych stronach nigdy nie bywało!
Mówże więc prędko co i jak się stało?

BATORSKI.

Gwałt i złodziejstwo!

MICHAŁ.

Niechże asan gada,
Kto co zrabował?

BATORSKI.

Toli gadam przecie,
ale co zacznę, to mi wraz przerwiecie...

MICHAŁ.

Gadajże krótko co i jak się stało?

BATORSKI.

Toli tak było: słonko dogrzewało...

STACH.

Krótko waść gadaj co było i kwita!
jak? kto? potem się nagadasz do syta.
Mów kto rabował, nie gadając wiele!

BATORSKI.

Gadam: pan Borski na swych ludzi czele!

MICHAŁ.

Borski?!

FREZER.

Wasz sąsiad?

MICHAŁ.

To *crimen* mospanie!

BATORSKI.

Toć ciągle mówię...

JAN.

Granic najechanie!

BATORSKI.

Gwałt i złodziejstwo...

JAN.

Skargę wnieść do grodu...

BATORSKI.

I to w dzień biały!

MICHAŁ.

Najazd bez powodu!

JAN.

Opowiedz waszmość, niech wszytko usłyszę,
zaraz cytację do grodu napiszę.

BATORSKI.

Na zboczu wzgórka, kędy niema cienia
a wilgoć ciągnie z dołu od strumienia,
gdy wcześniej trawy wyrosły od słońca,
kazałem kosić od granicy końca.
Przez wczoraj siano na słońcu leżało,
wyschło porządnie i cudnie pachniało.

STACH.

Nikt tu o siano nie pyta się waści, —
gadajże krótko o samej napaści!

BATORSKI.

Właśnie więc gadam. Że już przeschło siano
kazałem jeszcze przekładać je rano,
wzięliśmy grabie —

STACH.

Święta cierpliwości!
Mów węzłowato!

BATORSKI.

Od granicy włości
stanął karbowy i dziewek kilkoro,
paru parobków, praca szła nam sporo...

MICHAŁ.

Mów krótko człeku!

BATORSKI.

Już mieliśmy w stogi
nakładać siano, gdy wrzask słyszę srogi,
patrzę kto krzyczy? Pan Borski na koniu,
za nim z cepami gromada po błoniu
pędzi ku naszym, a pan Borski krzyczy:
»że kijem kości Mylnickim policzy,
precz stąd, powiada, kosić wam tu wara!
dalej za rzeką granica jest stara,
tu moje łąki, moje posiadanie,
a kto nie pójdzie, to kijem dostanie!«
»Nie prawda, mówię, tu granica bieży,
ta cała łąka do Mylnik należy!«
Pan Borski na to: »zaraz się dowiecie
gdzie jest granica, gdy skroję po grzbiecie!«
Napiera na mnie, jego chłopi, słudzy,
jedni z cepami, a z kijami drudzy
spędzają naszych od kopców do rzeczki,
więc przed chłopami dziewki do ucieczki!
Drapły dziewuchy — juści przecież baba
w gębie jest mocna, ale w ręce słaba —
parobki jednak z wielką ambicyją
skoczą na Borskich i grabiami biją!

STACH.

Tęgie chłopaki!

BATORSKI.

A Borscy cepami
na odlew walą!

BARBARA.

Zmiłuj się nad nami!

BATORSKI.

Pan Borski do nas: »Precz mi stąd ty zgrajo!«
nasi do niego: »Rabusiu« wołają!
Za mało chłopów na miejscu nas było,
musiałem zatem ustąpić przed siłą,
ten i ów dostał odemnie nahajem,
lecz i ja guza dostałem nawzajem...
krzyknąłem zatem: »Zaskarżym was zbóje!
to nasza łączka, to gwałt — protestuję!«

MICHAŁ.

Słusznie waść rzekłeś...

BATORSKI.

I ludzi w ordynku
na pocieszenie posłałem do szynku;
że zaś dwóch ślachty znajomków dojrzałem
na drodze ku nam, więc ich zawołałem.
Nie bardzo chcieli, lecz już obaczyli
jak Borscy siano nasze uwozili
i kopce nowe sypali przy roli,
muszą poświadczyć, choćby poniewoli.

MICHAŁ.

(do JANA*)*

Zaraz do skargi zabierz mi się synu!

BATORSKI.

Dwóch ślachty mamy jako świadków czynu!

tuż obok Borskich jechali w tej chwili,
gdy nasze kopce graniczne burzyli.

MICHAŁ.

Mam w skrzyni na to dekreta sądowe,
jak podkomorzy przyznał łączki owe
że ich posesja do Mylnik należy,
i że granica wprost kopcami bieży,
mój antecessor miał czarno na białem,
dekreta na to z rąk jego dostałem.

BATORSKI.

Dość starych ludzi, co zapamiętali,
jak owe kopce przy woźnym sypali,
ja sam pamiętam, choć czas szybko leci,
jak woźny trąbił raz, drugi i trzeci,
wszem wobec wszytkich kopce proklamował
a proklamacji nikt nie oponował.

JAN.

Trzeba zaskarżyć — skarżyć *sine mora!*

MICHAŁ.

Mam intromisją od antecessora...

BATORSKI.

Czyste złodziejstwo!

JAN.

I *manu armata!*

STACH.

Ja im pokażę!...

BATORSKI.

Jaka w sianie strata!
Dwa drabiniaste wozy napełnili!

STACH.

Nie można zwlekać — jadę tam w tej chwili.

BATORSKI.

Panie dziedzicu — pachniało z daleka!
To było siano! aromat! apteka!...
Pociągnąć nosem było aże miło!
Bo to się panie za sucha kosiło...

JAN.

Policzyć *praetium*... Ile siana było?

BATORSKI.

Najmniej wóz z brzegu, drugi przy granicy,
pachniało panie, jakby z kadzielnicy!...

JAN.

Damnum policzym i *lucrum* stracone.
Item za krzywdy ludziom wyrządzone,
Za robocizną *item* policzymy...

STACH.

Item za kije kijem zapłacimy...

MICHAŁ.

Gwałtu nie wolno! słyszysz! zakazuję!
Jan niechaj skargę zaraz skoncypuje!

BATORSKI.

Co to za siano! to aromat panie!

Kiedy ujrzałem jego rabowanie
siadłem na konia...

STACH.

Siadaj nań z powrotem,
na pogadankę będzie czas i potem,
teraz jedziemy.

MICHAŁ.

Zbadaj *rei statum...*

JAN.

Spisać rzecz całą *per longum et latum*:
nazwiska świadków — szkody porachować,
guzy i sińce ludzi zlikwidować.

STACH.

Już ja im szkody d o b i t n i e policzę!
Jadę w tej chwili — konia wypożyczę —
w drogę Batorski!

MICHAŁ

Nie przekraczaj miary...
wiesz o tem przecie, jakie mam zamiary...
Jedź, opisz sprawę i wracaj mi zdrowo.
Wszelkiego gwałtu zabraniam surowo...
wytoczym proces — Borski się przelęknie...

STACH.

Sługa waszmościów — żegnam wszytkich pięknie!

BATORSKI.

Co to za siano! przeboleć nie mogę!

STACH.

Panie Batorski! Dalej ze mną w drogę!

(STACH *i* BATORSKI *wychodzą)*

FREZER.

(*do odchodzących)*

Wychylcież szklankę! posilcie się przecie!
Czasu nie braknie, jeszcze dojedziecie...

(*do* MICHAŁA *i* JANA)

Siadajcie proszę — zapomnijcie o tem,
każdy się nieraz spotyka z kłopotem,
juści niemiła jest taka przygoda,
ale po burzy przychodzi pogoda!

(Siadają przy stole)

ZASŁONA SPADA.

AKT III.

Izba Orkisza — w głębi drzwi — łóżko — na prawo okno, w niem klatka z ptakiem — na lewo framuga zasłonięta firanką na garderobę — dwa duże stołki — stół — pułap drewniany.

ORKISZ.

(w domowym żupanie, w pantoflach, spaceruje, spoglądając czasem na pantofle i nuci półgłosem):

Vinum facit homines
leniter salire,
mutis dat eloquium
surdisque audire...

Coś mię w żołądku już ściskać zaczyna...
Jakoś się spóźnia pani Katarzyna...
Zapewne znowu, nawyknieniem starem
popsuje wino śmietany nadmiarem;
polewka winna, arcydobra rano,
lecz niezbyt dawać żółtek ze śmietaną...

(nuci)

et avem volare,
infirmum sanare...
feminas amare...
feminas ama- aa- aa- re!...

(puka do drzwi)

Jejmość! hej! jejmość!... Pani Jagodzino!

JAGODOWA.

(wnosi na tacce dzbanek, szklanicę, w drugiej ręce obrus — zostawia na stole)

Cóż waść tak krzyczy! toć wczesna godzina!

ORKISZ.

U mnie w żołądku dzwoni na południe.

JAGODOWA.

Nie będzie szkody, gdy waść trochę schudnie.

ORKISZ.

(popijając)

Niech jejmość brzucha mojego nie tyka,
abym był głodny, z niego nie wynika,
zresztą to moja personalna sprawa...
jejmość za późno śniadanie mi dawa.

JAGODOWA.

Oj tak! Jegomość, to o każdej dobie
o sobie tylko myśli, wciąż o sobie!
Kiedy przychodzę, dzień dobry nie powie,
imienia Boga nawet nie pozdrowi,
ni o Jezusie, ni o świętym Duchu
ani nie wspomni, bo myśli o brzuchu!
To nic waszmości jest niedola wdowy?
nic mu nie znaczy boleść białogłowy?...

ORKISZ.

Znowu wymówki! A niech was jasności!...
Gdzie moje buty? to mało jejmości
że mię w areszcie tu zatrzymujecie,

że na mnie jeszcze się kwerulujecie?
by dziecko na pokucie! Gdzie obówie?

JAGODOWA.

Buty u szwieca, mówiłam i mówię.

ORKISZ.

Nie prawda mówię, boście je schowali!

JAGODOWA.

U szwieca mówię.

ORKISZ.

W nocyście zabrali!

JAGODOWA.

Ano bo we dnie nie było waszmości!

ORKISZ.

A to potrzeba świętej cierpliwości!...

JAGODOWA.

Jak szwiec naprawi, to się lepiej chodzi,
cóż więc naprawa jegomości szkodzi?

ORKISZ.

Oczy mydlicie, to sztuka znajomą,
a ja dzień drugi siedzieć muszę doma!
Dość tego! Buty oddajcie! Słyszycie?

JAGODOWA.

To sobie pójdę, kiedy już krzyczycie...
A wy czekajcie, czy na to krzyczenie
Szwiec do was tutaj przyjdzie... myślę, że nie.
(odchodzi)

ORKISZ.

Pani Katarzyno! Hm... Zapomniała chleba...
Przyjdzie tu jeszcze... łagodniej z nią trzeba...
Na upór — próżno! Dalej dojdę zgodą.
Fortiter in re, suaviter in modo...
(popija)
Melankolija czepia się człowieka,
kiedy na wyjście drugi dzień się czeka...
uprze się czasem pani Jagodzina —
na upór babski lekarstwa zaś niema...
lecz ją przegadam, mnie to nie nowina...

JAGODOWA.

(wnosi chleb i masło — podaje na stół)

ORKISZ.

Bóg zapłać pani!
(zajada)
Proszę ja jejmości...
już to potrzeba z wami cierpliwości!...

JAGODOWA.

Tak? proszę, a ja nie jestem cierpliwa?
Przecież to drugi rok nam już upływa,
jak przyrzekliście ożenić się ze mną,
a ja czekam i czekam, jak dotąd daremno!

ORKISZ.

Toć tak nagle się nieda! O tem wiecie,
że sprawy moje nie w ordynku przecie,
in negotiis że się często musi
jachać ratować fortunę na Rusi...

JAGODOWA.

Już o tej Rusi nie mów po próżnicy,
mówiłeś nieraz dawniej, żeś z Łęczycy!

ORKISZ.

O! pani Katarzyno! Prawdą chodzę
zawżdy! z Łęczycy, mówię, ród wywodzę,
bo ona była Orkiszów kołyską,
w Łęczycy stryjców mam dalej i blizko,
lecz bieda czasem przenieść się przymusi,
takci ja potem osiadłem na Rusi —
tam inna gałąź jest herbu Leliwa,
nasza Doliwa. Jest trzecia...

JAGODOWA.

— do piwa!

ORKISZ.

Szreniawa!... Ociec z Doliwów pochodzi,
wojszczanka Łęska z Toporów go rodzi,
miał sześci synów z Tężyckiej Rozalji:
Piotra i Pawła...

JAGODOWA.

Gawła i tak dalej...

ORKISZ.

Jana, co glansem rycerskim zasłynął,
w bitwie z Tatarem walcząc mężnie zginął...
Nieboszczyk! Panie! świeć nad jego duszą!
Ilekroć wspomnę, łzy mi płynąć muszą...
Rafała dalej, co zmarł bardzo młodo,
Kaspra piątego, co słynął urodą,

był ożeniony z Dylską herbu Poraj...
szósty ja byłem, nieszczęsny Mikołaj.
Trudno, by sześciu na zagonie siadło,
więc najmłodszemu iść mi w świat wypadło.
Że jaki taki dowcip przecie miałem,
nie próżnej chwały pretekst kaptowałem,
nie urodzeniem, herbem byłem hardy,
jeno w kupieckie poszedłem azardy
zdala na kresach z Grekiem i Turczynem,
to z Ormianem, to znów z Wołoszynem,
i z łaski Pana, po mozole długim
kupiłem z zysków wioskę ponad Bugiem...
I byłbym dotąd tam orał zagony,
lecz mię kasztelan namówił w te strony,
ekspektatywy obiecał mi duże,
gdy w ekspedycjach do Gdańska posłużę,
dzierżawcę zatem dałem do mej wioski
i stąd tu jestem teraz z łaski Boskiej.
Prawda, że czasem noga się powinie...

JAGODOWA.

O tak! i często, po miodzie lub winie...

ORKISZ.

A pani Kasia doprawdy bez serca
jakby taranem frasunku przewierca,
nic cirkumspekcji na fortunę nie ma,
gdy burza okręt na uwięzi trzyma,
gdy łaska Pańska w swojej Wszechmocności
rysuje losy pędzlem swej mądrości!
Nic się do tego nie akkomodujecie,

ani baczycie, jako sławna w świecie
nadludzka ręka z piórem w Babilonie
(JAGODZINA *wzruszona)*
pisze na ścianie przy Balcera tronie
fatalne wróżby: Mane, Tekel, Fares!
Chyba stąd uciec, wziąć Penaty, Lares!

JAGODOWA.

O Mikołaju! Jak ci płyną słowa!
Dla mnie niebogi za mądra ta mowa...
tyle rozumiem, że daję mieszkanie,
daję wikt, opał, i dbam o ubranie,
że nie ja do was, wy do mnie przyszliście,
sami ożenek ze mną przyrzekliście,
zawsze jesteście bez grosza i goli,
ale ja czekam...

ORKISZ.

A mnie serce boli!
Zabiorę mówię, Lary i Penaty.

JAGODOWA.

Nie wiele warte te tam wasze graty!
Coście przyrzekli sami, z dobrej woli,
teraz cofacie, i w a s serce boli?
Gdzie teraz spokój, coście go zabrali,
a ludzie na to, — coby powiadali?

ORKISZ.

No, no, no pani Katarzyno...
No... moja Kasiu! już — cichajcie ino!
Nie cofam słowa, a choć się odwlecze

nie z mojej winy, to i nie uciecze!
Wiecie, że teraz u mnie grosza niema...

JAGODOWA.

Oj! i nie będzie! Grosz was się nie trzyma!
Od Kowalskiego gdzież wasze talary?

ORKISZ.

Casus fatalis winien całej stracie...

JAGODOWA.

Co o kazusie jakimś mi gadacie!
Prosto powiedzieć: w kości was ograli,
boście się w taką kompaniją wdali,
resztę wam skradli, boście mieli w głowie...

ORKISZ.

To kalumnija! Tego nikt nie powie!

JAGODOWA.

Ja mówię...

ORKISZ.

To źle!... W depozyt wam dałem
za to talary, co potem dostałem
od pana Stacha za różne usługi...
obiecał także coś Kowalski drugi...

JAGODOWA.

Tyleć waszego. Co u mnie w komorze,
tego Mikołaj już stracić nie może,
pilnuję tego, jak swojej własności.

ORKISZ.

Juści was znają wszytcy z poćciwości!
No, no Kasiuniu u mnie słowo znaczy,
że go dotrzymam, to Kasia zobaczy.
Niechno w jesieni przywiozę talary,
kiedy do Gdańska zawiodę galary,
jeśli chorobą Pan Bóg nie nawiedzi,
jak Boga kocham — dam na zapowiedzi!

JAGODOWA.

O Mikołaju! o ty mój poćciwy!
Toć ja ci wierzę — inaczejbyś żywej
mnie już nie widział!

ORKISZ.

Krakowscy mieszczanie
macie tam jakiś przywilej mospanie,
że was się liczy *ad nobilitatem*,
więc nie z plebejką ożenię się zatem —
a znałem nawet ślachcica Jagodę...

JAGODOWA.

O Mikołaju! toć ja ród mój wiodę
z zacnej familji — przecie Bochnerowie
dziady bywali rajcami w Krakowie,
a z nich niejedni są już ślachcicami,
na Wielopolu piszą się panami.
Mój mąż nieboszczyk był przecie syndykiem,
stryjek był rajcą, o ociec ławnikiem!
Tę kamienicę, jako i sąsiedzką
dostałam po nim, jako jego dziecko...

ORKISZ.

No widzisz jejmość! Nie wiedziałem tego,
a to rzecz ważna do związku takiego,
gdy się w jakową familję wchodzi
toć każdy pyta z kim? i kto go rodzi?
żali ród znany z ślachectwa? z urzędu?
Ta parentela ważna z tego względu,
bo mi nikt potem, jako ślachcicowi,
żem wszedł w plebejów rodzinę nie powie;
uniknę przez to od familji krzyku.

JAGODOWA.

Mój Mikołaju! mam tam w szabaśniku
świeżutką gąskę.

ORKISZ.

A dawajże zaraz!

JAGODOWA.

A dasz jej rady ze śniadaniem naraz?

ORKISZ.

(klepiąc się po brzuchu)

Chociaż w kościele zbytnia ludu kupa,
znajdzie się zawżdy miejsce dla biskupa!

MICHAŁ.

(wchodzi)

Pomagaj Boże!

ORKISZ.

Służba ma waszmości!

MICHAŁ.

(do JAGODOWEJ*)*

Czołem!

JAGODOWA,

Pomagaj Bóg waszej miłości!

MICHAŁ.

(do ORKISZA*)*

Słyszę, że waszmość z domu nie wychodzi,
myślę, że zdrowie waszmości zawodzi?

ORKISZ.

Tak... tak... po trochu... nieco bolą nogi...

MICHAŁ.

A właśnie chciałem zaprosić do drogi
w tej samej sprawie, o której już wiecie...

ORKISZ.

O! już mi lepiej... dziś mi raźniej przecie...
Siedziałem doma, ból w nogach przyczyną,
ale już wyjdę? pani Jagodzino?

JAGODOWA.

Jak waszmość będzie zdrowie swoje chronić,
wracać wczas do dom — od kompanij stronić...

ORKISZ.

Pewnikiem będę... zaręczam jejmości...

MICHAŁ.

(do ORKISZA*)*

Chciałbym pogadać coś na osobności...

JAGODOWA.

Ja nie przeszkadzam.

ORKISZ.

(do JAGODOWEJ*)*

A niechteż tam sługa
pójdzie po buty — naprawa zbyt długa,
niech szwiec pospieszy!

JAGODOWA.

(sprzątając ze stołu)

Byle wasze nogi
wiodły was zawsze na poćciwe drogi!

(odchodzi)

MICHAŁ.

Jak ona czuwa nad waścią poćciwie!

ORKISZ.

Zacna niewiasta!

MICHAŁ.

(siadając)

To bardzo szczęśliwie!

ORKISZ.

(siada)

Toż i ja jestem dobrym domownikiem,
płacę za stancję co miesiąc pewnikiem...

MICHAŁ.

Otóż rzecz taka. Chciałbym raz układem,
załatwić prędko ten mój spór z sąsiadem.
Nie po mej myśli rzecz się ta przewleka
i cel właściwy przez to mi ucieka.

Jak wiesz, to pragnę syna ożenienia,
a te tam szkody, to rzecz bez znaczenia!
Tymczasem ciągłe te *citationes*,
pozwy, relacje i *protestationes*
mogą trwać lata bez wielkich korzyści,
wolę, niech zamiar mój rychlej się ziści.
Stach drugi tydzień na wsi mi tam siedzi,
pisze, że świadków zbiera, szkody śledzi,
że mu rzecz idzie, pisze, doskonale —
ale pożytku ja nie widzę wcale!
Sambym pojechał, lecz mam pilne sprawy,
Stach nie procesu, lecz strzelby ciekawy,
póki nie wróci, trzeba mi znów Jana,
więc myślę wysłać powtórnie waćpana,
przedstawić jasno zamiary właściwe —
pomówić z Borskim raz *definitive*.

ORKISZ.

Służę z ochotą. Za pierwszej bytności
Borski popuścił już ze swej pewności...
już o sławetnym mówić on nie będzie
lecz z rewerencją, jako o sąsiedzie,
a co ważniejsza, że ten pan tak butny,
przed swoją żoną ma respekt okrutny,
bo pani Borska — *hic mulier* panie —
trzyma już z nami, — syn zięciem zostanie —
bo obaczywszy te w sklepie zapasy,
aksamit, sukna, jedwabie, atłasy,
i wieś do tego — fortuna niemała!
chętnieby córkę w dostatku ujrzała.
Majątek urok robi na kobiecie
a moja swada także znaczy przecie!

MICHAŁ.

Daj Boże rychło. Teraz ruszyć w drogę
przez to strzelanie do kurka nie mogę.

ORKISZ.

(prędko)

Niech waść nie jedzie! sprawa niegotowa!
Gdy rzecz dojrzeje, zjedzie rodu głowa,
toćby molestją było to niemałą,
gdyby przez pośpiech kosza się dostało!

MICHAŁ.

Masz waść racyją — będę kurka zbijał...

(JAGODOWA *wrzuca przez drzwi buty czerwone z cholewami na środek izby)*

MICHAŁ.

(zdziwiony)

A to co znowu za ceremonijał?!

ORKISZ.

Czasem z pośpiechu pani Katarzyna
o rewerencji nieco zapomina...
lecz ja jej zato już powiem kazanie!
Spróbuję buty — włażą — pojedziemy panie,
a waszmość baw się w kurkowe strzelanie.

MICHAŁ.

Jestci, co prawda, przytem i zabawa,
ale trafienie — ho! ho! to zyskowna sprawa!

ORKISZ.

Zyskowna? jak to?

(próbuje chodzić, tupie).

MICHAŁ.

Jest konstytucyja,
że kto ostatni strzępa z kurka zbija,
tytuł królewski przez rok ma w nagrodę,
a nadto od cła, podatków swobodę.
Dla kupca czasem to — parę tysięcy!

ORKISZ.

To trzeba trafić!

MICHAŁ.

A może i więcej!
Pomyślno waszmość: wino się nie rodzi
u nas, i jedwab z daleka przychodzi,
od każdej rzeczy trzeba cło opłacić!
A u nas lubią grosz na zbytki tracić,
kupują w mieście i na okolicę —
trzaby napełnić beczkami piwnice.
Gdyby się wolność od cła uzyskało,
toby w kieszeni przybyło nie mało!

ORKISZ.

Musisz waść trafić!

MICHAŁ.

Pan Bóg kule niesie...

ORKISZ.

Trafić koniecznie! W takim interesie
pomagaj sobie — Bóg pomoże tobie!

MICHAŁ.

Jak to waść myśli?

ORKISZ.

(siada)

Myślę sobie,
żebyś waść trafił! Gdzie o setki chodzi
na traf fortuny zdawać się nie godzi,
trzeba wynaleść do fortuny drogę,
wynaleść sposób.

MICHAŁ.

Strzelam, jako mogę...

ORKISZ.

Potrzeba trafić!

MICHAŁ.

Strzelamci niezgorzej...

ORKISZ.

Niech waść siekańców garść do lufy włoży!

MICHAŁ.

Poznają zaraz... o tem niema mowy!

ORKISZ.

Musisz waść trafić — to rzecz mojej głowy!

MICHAŁ.

Jeśli pomożesz — to zysk do połowy...

ORKISZ.

Trzymam za słowo. Jak to z tem strzelaniem?
Jaki porządek? Kto, jak czuwa nad niem?

MICHAŁ.

Za Mikołajską ulicą, przy wchodzie
Celestat mieści się w długim ogrodzie

między murami. Z jednej jego strony
na samym końcu kurek ustawiony,
na drugim końcu jest znowu altana,
w której drużyna strzelców jest zebrana.
Stąd jeden, drugi i tak dalej
kolejno każdy z rusznicy swej pali.
Przy kurku cyler ma w murze ukrycie,
skąd woła, gdy kto trafił należycie.

ORKISZ.

Otóż go mamy! Tu jest rozwiązanie!
Trzeba pogadać z cylerem mospanie!

MICHAŁ.

To ja nie mogę — to rzecz niebezpieczna...
Mogliby zwietrzyć!...

ORKISZ.

Ale to konieczna!

MICHAŁ.

Waść iść tam może daleko wygodniej...
Czas mamy na to jeszcze dwa tygodnie...
Waść jako obcy, uwagi nie zwróci,
nikt podejrzenia stąd na rzecz nie rzuci...

ORKISZ.

Może to racja... Brzęcząc talarami
z cylerem sobie mądrze pogadamy!
Gdy z Mylnik wrócę, znajomość z nim zrobię,
życzliwie sobie naprzód usposobię,
z góry nagrody połowę wyłożę,

jeśli do kurka ubicia pomoże,
Już ja to zrobię... biorę na mą głowę!

MICHAŁ.

A na wydatki — *(dając woreczek)* talary gotowe.

WOŹNY ziemski.

(zagląda ze drzwi)

Jest!

(chowa się)

ŚWIADEK I.

(zagląda ze drzwi)

To on!

(chowa się)

ORKISZ.

Co tam?! Kto tam taki zagląda?

ŚWIADEK II.

(zagląda ze drzwi)

Tylko dwóch!

(chowa się)

MICHAŁ.

Kto tam taki?

ORKISZ.

Wchodź! Kto masz co do gadania!

(Wchodzi woźny, podkasane poły, — w ręku kij i papier — za nim świadkowie I i II, mizernie ubrani szlachcice, zachowują się trwożliwie — woźny trzyma kij przed sobą, jakby gotów do obrony)

WOŹNY.

(czyta)

Ja przezorny woźny ziemski wobec tych dwóch szlachty kładę pozew na waszmości Michała Kowalskiego, iżeś *uti principalis* z synem twoim Stanisławem chłopów a hultajstwo zebrawszy...

MICHAŁ.

Co? Co?

WOŹNY.

...włość wielmożnego Jana Borskiego *manu armata* najechał...

MICHAŁ.

Uszom nie wierzę!

WOŹNY.

...Kłódkę od stodoły odbiłeś, cztery fury siana zabrałeś...

ORKISZ.

Pewnie te zrabowane z Mylnik!

WOŹNY.

...siedmioro kurcząt, dwie kurze i cztery gęsi zatratowałeś kopytami...

MICHAŁ.

Wielka rzecz!

WOŹNY.

...pracowitego Walentego Wałkonia, włodarza Borskiego pobiłeś i z żywego martwym uczynić chciałeś...

MICHAŁ.

Kalumnija oczywista!

WOŹNY.

...i kopce graniczne przez wielmożnego Borskiego usypane rozkopałeś, a nowe usypałeś...

MICHAŁ.

To nowa napaść! Wynoś mi się zaraz co żywo, albo dalibóg sprawię ci basy! Mam dekreta na kopce graniczne! czarne na białem!

WOŹNY.

(rzuca papier na stół)

Pozew doręczony — mam świadków *(do świadków)* W nogi panowie!

(Woźny ze świadkami uciekają)

MICHAŁ.

Wyraźnie zakazałem gwałtów! Szalona pałka!

ORKISZ.

Uczynił po kawalersku!

MICHAŁ.

Crimen! Invasio bonorum! Oliwa do ognia!

ORKISZ.

Ale odebrał siano! po kawalersku!

MICHAŁ.

Ale poturbował jakiegoś tam włodarza!

ORKISZ.

Nie wszytko prawda, co na papierze!

MICHAŁ.

Teraz kładą na mnie pozwy, jako na pryncypała...

ORKISZ.

Już ja tam pojadę, to się jakoś ułoży...

MICHAŁ.

Teraz nie można odwlekać, *periculum in mora*, sprawa kryminalna. Tegom się doczekał! Dam waszmości papiery — zażądasz od Borskiego zapłaty wszytkiego, powiesz mu waszmość *breviter*, że abo zapłaci wszystko co do grosza — i recyduje od wszelakich skarg i da córkę memu synowi, a ja zapiszę jej na wiano pretensyje do Borskiego... abo zażądasz egzekucyi...

(ORKISZ *bierze z framugi kontusz i wdziewa).*

ORKISZ.

Idę na Kleparz poszukać koni do Mylnik — tam wezmę od Stacha bryczkę do Borów!

MICHAŁ.

Jedź waszmość zaraz! Jedź waść w imię Boże, a Wszechmogący niech waści pomoże!

ZASŁONA SPADA.

AKT IV.

Celestat: Alea drzew od przodu sceny nieco ku prawej stronie w głąb się ciągnąca, na końcu mur, przed nim, ile możności w głębi, na słupie drewniany kur, biało pomalowany, ze znakami kul i pęknięć, — na pniach drzew chorągiewki, tarcze, łuki, rusznice; na lewo widać nieco mur miejski z basztami, — na froncie sceny, na stopniu drewniana maleńka altanka dla strzelających — z boku mała galerya dla przypatrujących się strzelaniu.

JAKÓB.

(nieco kuleje)

Tutaj chorągiew jeszcze przybić muszę;
na pniach dać jeszcze tarcze, łuki, kusze...

(do MACIEJA*)*

Stół się postawi, jako zwyczaj, z boku,
na nim kobierczyk jakiś miły oku,
kędy rejestry i klejnoty kładą,
wszytko być musi z świąteczną paradą.
Tu do altanki-no, ruszaj się żywo!
Dawaj podpórkę, hupkę i krzesiwo...
Przynieśno jeszcze małe proporczyki
jakieś pancerze, hełmy, szable, piki...

*(*MACIEJ *odchodzi na lewo)*

To mi parada! znać Jakóba głowę,
wszytko w ordynku zawczasu gotowe!

(idzie w głąb ku kurkowi)

FREZER.

(z lewej strony)

Z temi babami mam skaranie Boże!
Już to wiadomo: gdzie djabeł nie może
tam pośle babę... Tu jedyna rada,
że mi z Jakóbem nadrobić wypada...
Dzień dobry!

JAKÓB.

Sługa waszmości!

FREZER.

Rocznica
dzisiaj, jak moja przeklęta rusznica
kulkę ci w łydkę Jakóbku wsadziła.
Serce mię boli... pamiątka nie miła...
nie miejże żalu... no, masz tu dukata.

JAKÓB.

Dziękuję pięknie, może tego lata
jegomość lepiej wystrzeli do kurka!

FREZER.

Modlą się o to i żona i córka...
Masz tu dukata, poćciwy Jakóbie
za tę pomyłkę, bo cię bardzo lubię.

JAKÓB.

Niech się waszmości najlepiej powodzi!
Niech Bóg trafieniem do kurka nagrodzi!

FREZER.

Co prawda, to ty mógłbyś snadnie
dopomódz... kurka zrzucić zgrabnie...

uwiązać z boku... pociągnąć za sznurek
i gdy wypalę, spadłby naraz kurek...

JAKÓB.

Co też waszmość gada!
To mi nie wolno — to mi nie wypada!

FREZER.

Lub z boku rzucić na kurka kamyczkiem...
albo go dziubnąć od dołu patyczkiem...
niech ino kurek po mym strzale zleci,
to pięć dukatów wyliczę waszeci!

JAKÓB.

Cichajcie ino... bo Maciej nadchodzi!
Za waszą hojność Pan Bóg was nagrodzi...
(odchodzi w głąb)

FREZER.

(patrząc za nim)
Myślę, że Jakób, nie zechce swej straty
i przyrzeczone zarobi dukaty...
(wychodzi na lewo)

JAKÓB.

(dzwoniąc w ręce dukatami)
A to okazją miałem dziś szczęśliwą!...

MACIEJ.

(niosąc chorągiew, pancerz, szable, hełm, chorągiewki)
Masz tu proporce i to żelaziwo...

JAKÓB.

Chorągiew w górę... uwiąż ją u kołka...

(Maciej wiesza chorągiew, potem szable, hełm etc. na drzewach, potem odchodzi)

JAKÓB.

Pan Bóg łaskawy na chudopachołka!

ORKISZ.

(wchodzi z prawej strony, rozgląda się)

Ho! ho! a więc to tu ichmoście od łokcia i miarki wchodzą z Marsem w paragon! Patrzcie, patrzcie... Jakie te plebeje mają ornamenta! Rusznice, kusze, tarcze... nawet pancerze! fiu! fiu! Trzeba odszukać tego cylera. Tu jakiś kuternoga się kręci, zacznę od niego. *(do* JAKÓBA*)* Słuchajcieno człeku! Juści nie wiesz kto jestem, ale...

JAKÓB.

Ale wiem!

ORKISZ.

(zdziwiony)

Wiesz kto jestem? Więc kto?

JAKÓB.

Skąpiec, panie, bo mi widzę nic nie dajecie.

ORKISZ.

Trem, brem! ty hultaju! jak śmiesz tak rzec do ślachcica?

JAKÓB.

Szkoda waszej ślachetnej persony, jeżeli nie macie nic mędrszego do powiedzenia.

ORKISZ.

Hm! Widzę, że gębę masz nie tylko do jedzenia! No, masz tu... przyjacielu!

JAKÓB.

Bóg zapłać! Teraz was trochę poznałem, ale widzę, że — nie jesteście rozrzutni!

ORKISZ.

Trem, brem! No masz tu jeszcze — znaj ślachcica.

JAKÓB.

Dodaj waszmość jeszcze, to jeszcze lepiej poznam waszą godność.

ORKISZ.

No — masz jeszcze grosz hultaju!

JAKÓB.

Niech was niebo błogosławi jaśnie wielmożny panie hetmanie, czy marszałku, abo jak mam waszą wielmożność tytułować?

ORKISZ.

Kuty plebejus! Słuchajcież, mój przyjacielu — to dziś jest strzelanie o królestwo?

JAKÓB.

Skorom został waszym przyjacielem, to wam powiem w sekrecie na ucho *(do ucha)*, że dziś

będą strzelać do kurka, jeden trafi, a reszta chybi.

ORKISZ.

Juści, tak być musi. A czemże ty tu jesteś przy tem strzelaniu?

JAKÓB.

Ja jestem świadkiem, arbitrem, posłańcem, dozorcą, klucznikiem, odźwiernym, woźnym, stróżem, a zowią mię cylerem...

ORKISZ.

(do siebie)

Do licha, to cyler — trzeba z nim grzecznie i politycznie... *(do* JAKÓBA*)* To duża godność. Więc waść jest cylerem!... Z waszych zacnych odpowiedzi widzę, że macie pod tą czapką nie tylko włosy, ale i rozum, możemy więc pogadać prosto z mosta. Kto trafi do kurka, a kto chybi, to najlepiej wie cyler, bo przy kurku stoi...

JAKÓB.

Prawda jak ewanielija.

ORKISZ.

Więc rzeknijże waszmość, kto trafi dziś do kurka?

JAKÓB.

Waszmość nie.

ORKISZ.

Racyja — ale waść trafi na pewno!

JAKÓB.

A to jak? ja przecie nie strzelam!

ORKISZ.

Ale trafisz, trafisz przyjacielu! ha! ha! jakżeż ci na imię?

JAKÓB.

Jakób.

ORKISZ.

Więc mości panie Jakóbie nie traćmy czasu. Ręka rękę myje. Jak waść trafisz do kurka, gdzieś z boku kamyczkiem, patyczkiem, sznureczkiem — dostaniesz 30 talarów bitych!

JAKÓB.

Widzę, że waszmość wiedzie mnie na pokuszenie...

ORKISZ.

Tu masz 15 talarów, a drugie 15, powiedzmy 20, dostaniesz, jak jegomość pan Kowalski zostanie królem kurkowym. Rozumiesz?

JAKÓB.

Mądrej głowie dość dwie słowie. Dajcie talary i idźcie z Bogiem, bo już późno!

ORKISZ.

Idę przygotować drugie dwadzieścia dla Jakóbka.

(odchodzi na prawo)

JAKÓB.

(waży pieniądze na ręce)

Oczywiście Bóg się opiekuje chudopachołkami! żeby tak wszytcy strzelcy chcieli dać mi po parę talarów!

SENIOR.

(Wchodzi z lewej strony — starzec o lasce)

Widzę celestat dobrze przystrojony.

(do JAKÓBA*)*

Czy kurek dobrze już podziurawiony?

JAKÓB.

Nim się rozleci, dość kul on wytrzyma!

SENIOR.

To dobrze, bo pośpiechu niema...
a do armaty niech idzie pachołek —
dla prezydenta tu postawić stołek —
rajcowie obok na ławach usiędą...
strzelcy za moment schodzić się już będą.

(wchodzą strzelcy z rusznicami po jednemu, po dwóch).

STRZELEC I.

Czołem panie Seniorze!

SENIOR.

Witajcie!

STRZELEC II.

Pomagaj Boże!

STRZELEC III.

Czołem!

SENIOR.

W rząd stawajcie.

A! pan Kowalski!

(wchodzi Michał Kowalski i Jan, ten już w polskim stroju, — Michał przedstawia Jana Seniorowi:)

MICHAŁ.

Mój syn pierworodny!

SENIOR.

Witaj mi waszmość i syn jego godny!

(do wchodzącego FREZERA*)*

A! pan Frezer! jakże waści zdrowie?

FREZER.

Nie bardzo...

SENIOR.

Dobrze! dobrze!

(do wchodzących mieszczan i mieszczanek)

Arbitrowie

(wskazuje na lewo)

tędy na górę! tu tylko strzelcowie.
Tam na galeryją!... Schodami tamtędy,
na ganku siądą białogłowy w rzędy,
waszmoście staną za białogłowami,
każdy obaczy, dość tam miejsca mamy!

(podczas gdy senior pokazuje przybywającym na lewo — wpada z prawej strony)

ORKISZ.

(do MICHAŁA*)*

Szukam waszmości... Nowiny obfite,
wszytko jak z płatka idzie *expedite*!

MICHAŁ.

Mówiłeś z Borskim?

ORKISZ.

Po to tam jeździłem!
A potem z Mylnik zaraz tutaj byłem,
cyler jest z nami... dotąd nam się wiedzie...
Stach z kompaniją dzisiaj tu przyjedzie...
pan Borski przyjaźń swoją deklaruje,
od wszelkich pozwów w sądzie odstępuje!

MICHAŁ.

Chwałaż Ci Boże! Wnet Janka wyprawię,
by ślubem koniec położył tej sprawie.

ORKISZ.

A ja do domu idę do waszmości
zgotować wszytko na przyjęcie gości!
(wybiega na prawo)
(Za sceną słychać z początku słabo potem coraz głośniej muzykę)

SENIOR.

Szanowni... tego... braciowie... kurkowie...
Chciałem rzec: Bracia kurkowi, panowie!
Ordynkiem proszę stanąć tu na brzegu,

rusznice w ręce... przy sobie... w szeregu,
sam środek wolny zostawić wypada,
tu pan Prezydent i panowie Rada...

(Z prawej strony przy odgłosie muzyki wchodzą: naprzód 2 halabardników, pachołek miejski niosący postaw purpuzyjanu i wieniec, za nim PREZYDENT *z kilkoma rajcami, za tym* KRÓL KURKOWY *ze srebrnym kurem na piersiach na łańcuchu, między dwoma* MARSZAŁKAMI *niosącymi wysokie laski, za nim* STRZELCY *z rusznicami i* MIESZCZANIE *z chorągwiami. — Pachołek na wskazówkę Seniora kładzie postaw i wieniec na stole po lewej — prezydent staje z rajcami i halabardnikami na środku, nieco na lewo, król kurkowy z orszakiem swoim na środku, nieco na prawo).*

SENIOR.

Witajcie u nas przy kurkowem święcie,
panowie Rada, panie Prezydencie!

PREZYDENT.

Mości Panowie! W uroczystej szacie
omnes ordines dziś tu zgromadzacie,
jak nakazują *privilegia* stare,
ut exercitium crescat militare!
Przez to ćwiczenie bezpieczeństwo miasta,
Rzeczpospolitej i mieszkańców wzrasta.
Nie ród tu znaczy, ani majętności,
jeno zasługa i dowód zręczności,
stąd emulacji wszytkim dozwolono

nullo excepto — pro publico bono,
stąd *antiquitus* jest konstytucyja,
że kto ostatni strzępa z kurka zbija
tytuł królewski ma przez rok w nagrodę,
wolność podatku i od cła swobodę,
a *communitas* cała *honorata*
afektem szczyci królewskiego brata —
Nuże panowie — wakans się otwiera,
niech do zapasów każdy się zabiera!
(do króla kurkowego)
Szlachetny królu *anni praeteriti*!
Gasną dziś twoje królewskie zaszczyty,
bo nakazuje ci statut kurkowy
odstąpić splendor ten sukcessorowi,
złożysz purpurę, kurkowe klejnoty,
zostanie honor i pamiątka cnoty;
giną rodziny, rody i plemiona
lecz pozostają zaszczytne imiona!

KRÓL KURKOWY.

Mości panowie! Ledwo jedno lato
los mię obdarzył tą królewską szatą.
Ubiegł rok szybko i z tronu mię rusza,
do abdykacji z królestwa przymusza,
z przelotną trzeba pożegnać się sławą,
na nic rebelja, gdy tak każe prawo!
Plinjus sławny wiadomo nam czyni,
że pewna panna w Fortuny świątyni
wielkiem misterstwem urobiła szatę
z dziwną jasnością *et cum aromate,*
którą Fortunie złożyła *in voto,*

i jeno taki, co zajaśniał cnotą,
miał prawo użyć tej szaty okrycia,
lecz tylko jeden raz za swego życia;
taką ci szatą była ma purpura,
raz tylko jeden ja nosiłem kura,
termin upłynął — oddaję w żałości
kura w tej samej, w jakiej był jasności!
(Zdejmuje kura i stawia na stole na lewo — wszyscy stawają więcej po bokach sceny)

SENIOR.

Panowie tego... tam kur, cel strzelnicy!
Proszę więc tego... każdy do rusznicy!
A ty Jakóbku, schowaj się za murek,
żebyś nie dostał znów ty zamiast kurek!
(Jakób odchodzi w głąb)
Macieju! proklamacją prawną głoście!

MACIEJ.

Raczcie to wiedzieć dokoła waszmoście,
iż się poczyna królewskie strzelanie!
Dotąd trwa strzelba, póki kura stanie,
kończy się zasie, kiedy kurek zleci,
co wszem ogłaszam, — raz drugi — raz trzeci!

SENIOR.

Jeden przy drugim — po kolei — w rzędzie...
Kto kura zrzuci, ten nam kurem będzie...
Królem rzec chciałem... zatem rzędem, panie
tego, każdy z rusznicą tu stanie...
a żaden strzelec, prawo napomina,
z drugim niech swaru, żartu nie zaczyna!

Wedle starszeństwa... a każdy niech patrzy
i strzeli wtedy, gdy powiem raz, dwa, trzy!
Jegomość Frezer — z wieku mu wypada,
niechaj się pierwszy z swej rusznicy składa!

(FREZER *wchodzi do altanki, dmucha w hupkę, składa się i celuje z rusznicy do kurka — obraz).*

ZASŁONA SPADA.

AKT V.

Izba w domu Kowalskiego, u pułapu świecznik — na ścianie lampka gorejąca przed obrazem. W głębi nieco na prawo okno — na lewo dwoje drzwi, na prawo jedne. Na ławie pod ścianą pokrytej kobiercem śpi ANDRZEJ.

(Słychać z zewnątrz pukanie do drzwi)

ANDRZEJ.

(drzemiąc)

Raz dwa-trzy — strzał za strzałem pali...
Bęc! znowu bęc! bęc! coraz mocniej wali!

(wstając)

A! to do furty puka ktoś z ulicy!
A mnie się śniło, że słychać z strzelnicy.
Może to goniec, że pan — król kurkowy?

(wychodzi na lewo w głębi, po chwili wraca z ORKISZEM*)*

ORKISZ.

A to waść widzę sen ma bardzo zdrowy!
Pukam kołatką w furtę od godziny!

ANDRZEJ.

Zdrzemnąłem nieco, czekam na nowiny,
jak tam wypadnie królewskie strzelanie...

ORKISZ.

Wielkie nowiny! Otrzeźwiej mospanie!

ANDRZEJ.

Czy pan mój trafił? no, mówże jegomość!

ORKISZ.

O tem zawczesna byłaby wiadomość,
gdy odchodziłem strzelba jeszcze trwała,
a gdy się skończy, da znak wystrzał z działa.
Lecz waść, mospanie, dalej do roboty,
przyjadą goście, będzie dość ochoty!

ANDRZEJ.

Toć nie wiadomo, czy królem zostanie,
skądże więc goście?

ORKISZ.

A z Mylnik, mój panie,
Stach z kompaniją przyjedzie w tę porę,
trzeba więc gości przyjąć *cum honore*.

ANDRZEJ.

Pan Stach przyjedzie! to się pan ucieszy!

ORKISZ.

Z przygotowaniem niech więc waść się spieszy.

ANDRZEJ.

Mówiąc po cichu, to wszytko — gotowe,
by towarzystwo ugościć kurkowe,
gdyby pan trafił. Ale pokryjomu,
by się nie śmiali, że stół próżny w domu,
że niema gości, na których czekano...
Toć Frezerowa jest już obgadaną,
że co rok ucztę piecze, praży, smarzy,
a tu mężowi z kurkiem się nie darzy,

i sami potem przy swej uczcie siedzą,
a odgrzewaną pieczeń cały tydzień jedzą...
Ja zaś po cichu z piwnic wziąłem wina,
dwa antały poćciwe starego węgrzyna,
w alkierz wstawiłem miodu dwa gąsiory,
w szafie są bułki, szklanic zasób spory,
w spiżarni zwykle coś się tam zgromadzi,
jeśli król przyjdzie, jakoś się poradzi.

ORKISZ.

Optime! Przyjmiem ich *honorifice*,
tymczasem dajno jakową szklanicę,
w gardle mi wyschło, naciągnąłem nogi,
by się nie spóźnić z nowiną w te progi.

ANDRZEJ.

Mam butelczynę w osobnem ukryciu...
(dobywa z pod ławy butelkę i dwie lampki na tacy)
Spróbujno waszmość, czyś pił takie w życiu?
Hę? Jakże?

ORKISZ.

Dolej!...

ANDRZEJ.

Dobre?

ORKISZ.

Znakomite!
Nektar mój panie!...

ANDRZEJ.

Prawda? Smakowite!

ORKISZ.

A teraz słuchaj. Zaszły tam nowości
pewne w Mylnikach. Są okoliczności...
są... panie tego... takie interesy...

ANDRZEJ.

Aha! rozumiem — Borskiego procesy!

ORKISZ.

Tak, tak, procesy — a z tego wypada,
by pierwej z ojcem odbyła się rada...
Niech pan Stach pierwej ojca zdanie słyszy,
nim mu przedstawi swoich towarzyszy,
zanim się ojca na tę rzecz nastroi,
trzeba tych gości do bocznych pokoi...

ANDRZEJ.

Można, do dalszych izb się ich poprosi,
tam im napitku... pieczywa naznosi...

ORKISZ.

Ma to być z tego niespodzianka mała,
tymczasem milczeć masz mi waść jak skała!
Dopóki znaku nie damy waszmości,
Słowa nie piśniesz, że masz w domu gości,
pamiętaj, żebyś język w gębie chował!

ANDRZEJ.

Widzę ja z tego — pan Stach coś zmalował...
Lecz, że go w domu tu wszytcy kochamy,
według życzenia; język za zębami!
Oby szczęśliwie poszły tylko sprawy,

co to takiego? okrutniem ciekawy!
Ot! słychać turkot!

ORKISZ.

Słyszę rżenie koni...
Jadą tu ku nam... to z pewnością oni!
(wychodzi drzwiami w głębi)

ANDRZEJ.

Jeśli pan Michał kurka tam ustrzeli,
to będziem drugą kompaniją mieli...
picia nie braknie... jadła nie tak wiele...
Trudno piec teraz, we święto, w niedzielę...
dodam pierników, przetrząsę spiżarnię,
może coś jeszcze na misy się zgarnie...
A potem skoczę pomiędzy sąsiady,
jakoś to będzie — damy sobie rady!

STACH.

(drzwiami z prawej strony)
Witaj Andrzeju!

ANDRZEJ.

Panie Stanisławie!
Witam serdecznie! Toć już miesiąc prawie
jak pana niema, aż tu posmutniało,
a i pan ociec martwił się nie mało...

STACH.

Sam nie myślałem... że tak długo zbawię,
impedimenta zaszły w naszej sprawie...
Lecz o tem potem — już późna godzina,
w pokojach widzę mroczyć się zaczyna...

Proszę Andrzeju zapal świece wszędzie,
bo tu kompanja liczna gości będzie...

*(*ANDRZEJ *zapala stoczek od lampki przed obrazem i zaświeca świecznik u pułapu)*

STACH.

(wskazując na lewo)

Zaświeć i w świetlicy...

*(*ANDRZEJ *wychodzi ze stoczkiem na lewo drzwiami bliższemi)*

ORKISZ.

(z prawej strony)

Ulokowałem gości w tajemnicy...
Pan Hałasiński wie, jak stoją rzeczy,
więc jak gospodarz ma tam gości w pieczy...
Andrzej im wina, pieczywa dostawi,
póki się z ojcem nie ułoży sprawy.

STACH.

Dziękuję waści. Im do końca bliżej,
tem mi fantazja spada coraz niżej!...
Ta historyja była trochę śmiała...

(Słychać z daleka przygłuszony odgłos 3 strzałów działowych w krótkich odstępach)

ORKISZ.

Raz! dwa! trzy!

ANDRZEJ.

(wpada z lewej strony)

Znak nam dają działa,

że jest król nowy! A dziś mi się śniło,
że się mojemu panu poszczęściło!

STACH.

Idźno do gości, Andrzeju kochany,
daj coś pieczywa, szklanice i dzbany...

ANDRZEJ.

Migiem mój panie — lecz myśleć wypada,
co dam, gdy druga przyjdzie tu gromada
gości strzeleckich? Ręczę, Frezerowa
że na przyjęcie takie jest gotowa,
jeśli on znowu kurka nie ustrzeli,
tobyśmy pomoc z jej spiżarni mieli!...

STACH.

Czy został królem, zobaczym niedługo,
tymczasem zajmij się gości obsługą...

ANDRZEJ.

Dwaj chłopcy z sklepu są na zawołanie,
w końcu na pomoc i klucznica stanie...

(wychodzi na prawo)

STACH.

(do ORKISZA*)*

Niechajże waszmość rzecz z ojcem zaczyna...

ORKISZ.

Pierwszeństwo tutaj należy do syna.

STACH.

Lecz ja pierwszeństwa tego ustępuję!...

ORKISZ.

A ja z honoru tego rezygnuję!
Kto piwo warzył, niech pierwszy kosztuje.
Waść widzę trochę tchórzyć mi poczyna —
więc dla fantazji łyknij sobie wina!
(nalewa lampki — piją)

STACH.

Mój Mikołaju! gdyście pomagali,
to stójcież przecie przy mnie teraz dalej!
Waszmość załatwi rzecz lepiej pewnikiem...
na zawżdy będę stąd waszym dłużnikiem...
wasz rozum, mądrość i wasza obrona
najlepiej ojca o wszytkiem przekona.

ORKISZ.

Waść mnie zaszczyca okrutnym honorem,
by ociec na mnie wsiadł pierwszym furorem.
Znowu waść wiedzie mię na pokuszenie!
Lecz niech już będzie. Moje doświadczenie
wynajdzie dowcip i swady mi doda,
by nastąpiła z panem ojcem zgoda.
Zacznę niejasno... to i owo słowo...
potem znów bliżej — tak... okolicznościowo...
(Słychać z dala muzykę)
Otwórz-no okno! bo idzie kapela!
(STACH *otwiera okno, wyglądają)*

STACH.

Orszak kurkowy!

ORKISZ.

A to ludu wiela!

STACH.

Jeżeli ociec królem na strzelnicy,
powinni skręcić na rogu ulicy...

ORKISZ.

Wkoło pochodnie smolne ogniem płoną...
(Coraz silniejsza muzyka — w oknie wzmaga się blask pochodni, gwar)

STACH.

Tłum na rogu stoi!

ORKISZ.

A chorągwie wioną
w powietrzu... zda mi się teraz na rogu skręcają?

STACH.

Skręcili! idą! tu do nas zdążają!

ORKISZ.

Wiwat pan Michał! To nam się udało!

STACH.

Będą przed nami już za chwilę małą...
Lecz patrzno waszmość! przecież mnie zdaje się,
że w tym orszaku — Jasiek kura niesie!

ORKISZ.

To Jasiek królem!

STACH.

Rzecz niespodziewana!

ORKISZ.

Biegnij przed furtę witać ojca pana!

STACH.

Ach! co to będzie!

(wybiega)

ORKISZ.

Nie mylą mię oczy,
pan Michał z boku obok Jaśka kroczy...
Jaką ma minę, dojrzeć trudno w tłumie...
Co się to stało? Nic już nie rozumię!

(Zamyka okno, gwar za sceną, okrzyki: Vivat! król kurkowy! Vivat! muzyka, blask pochodni)

(Wchodzą drzwiami w głębi: MICHAŁ, *którego w progu* STACH *w rękę całuje — za nim* JAN *z kurem na łańcuchu na piersiach — dwaj* MARSZAŁKOWIE *z laskami,* SENIOR, STRZELCY, CYLER *ze strzępem białego drewnianego kura).*

MICHAŁ.

Witajcie mościwi panowie w progach moich i mojego pierworodnego, ozdobionego dziś tą godnością... *(muzyka cichnie zwolna — okrzyki za oknami słabną i milkną — światło w oknach przygasa).* Proszę wasze miłoście do wielkiej izby... *(wskazuje drzwi na lewo więcej na przodzie sceny).* Bardzo proszę! Spocznijcie wasze miłoście, zanim przygotujemy godniejsze przyjęcie tak niespodziewanych gości!

(Podczas tych słów wśród jego ukłonów goście przechodzą przed nim kłaniając się, na lewo).

ORKISZ.

(do SENIORA*)*

Stary nie markotny na Jaśka?

SENIOR.

Już dobrze, dobrze... już się ucałowali na celestacie, zagodziliśmy tę poniewolną emulacyją... *(odchodzi za innymi na lewo* — ANDRZEJ, *niesie z prawej ku lewej stronie na tacy dzban i szklanki).*

ORKISZ.

(przytrzymuje za rękaw MICHAŁA, *gdy ostatni goście wyszli — dając równocześnie znak* STACHOWI, *aby wyszedł, który też odchodzi na prawo)*

Muszę waszmość na moment odwołać od gości — pan Jan zajmie się tam nimi. Stach zakończył szczęśliwie całą sprawę wedle zamiarów waszmości *in puncto* sporu z panem Borskim — polubownie i według życzenia...

MICHAŁ.

Polubownie? Chwała Bogu! i wedle życzenia? więc mówił *directe de matrimonio*?

ORKISZ.

Directissime — tak — mówił.

MICHAŁ.

To się Jasiek ucieszy!

ORKISZ.

Sine dubio! zapewne!

MICHAŁ.

I pan Borski się zgodził?

ORKISZ.

Z początku, to on nie bardzo się godził, nie, nawet wcale się nie godził — ale jak go obsiadły córka i żona, a to herod baba... przepraszam... jejmość trochę cholerycznego temperamentu... *hic mulier*! jak mu zaczęły przedstawiać *ad oculos*, że idzie o majątek, o szczęście córki, że waszmość zapisze jej wszytkie pretensyje na wiano i że będzie dziedziczką na Borach i Mylnikach, *haeredissa de Bory et Mylniki* — tak zmiękł pan Borski i *nolens volens* dał błogosławieństwo — a my z gotową dyspenzą wczoraj prosto do kościoła na ślub — i *finis*.

MICHAŁ.

Co waść mi tu plecie? Jaki ślub? Kto, gdzie, z kim??

ORKISZ.

Przecież mówię jasno, że według woli waszmości ożeniliśmy syna z panną Borską!

MICHAŁ.

Czy ja dobrze rozumię, czy oszalałem? Stach się ożenił?

ORKISZ.

Oczywiście! Jakże waszmość chciałeś?

MICHAŁ.

Jak chciałem! Waść oszalał! mówiłem o Jaśku!

ORKISZ.

O Jaśku? nie słyszałem, — mówiłeś waszmość ciągle o synie, Stacha do Mylnik posłałeś, więc myślałem o Stachu!

MICHAŁ.

Mówiłem o Jaśku, co mi tu waszmość kręcisz!

ORKISZ.

O! za pozwoleniem, mości panie Kowalski! Może waść myślał o Jaśku, ale skąd ja to wiedzieć miałem?

Kazałeś syna wyswatać, więc go wyswatałem *feliciter*!

MICHAŁ.

Ciągle mówiłem o Jaśku.

ORKISZ.

Waszmość nie stawiał tej kondycyji, była mowa o synie, Stach przecież siedział w Mylnikach, Stach gospodarzył, Stach wojnę prowadził, Stach z panną polował, rzecz więc prosta, że Stach się z panną ożenił!

MICHAŁ.

Bez mego zezwoleństwa, bez mego błogosła wieństwa!

ORKISZ.

Ja dałem błogosławieństwo w imieniu waszmości...

MICHAŁ.

Kto to waści pozwolił?!!

ORKISZ.

Tylko *lente* mości panie Kowalski! Jako plenipotencyaryusz do wyswatania miałem prawo. Jeśliście się pomylili w dyspozycyji, to wasza rzecz i nie dam ubliżać memu klejnotowi ślacheckiemu!

MICHAŁ.

Czemu nie pisał o tem do mnie?

ORKISZ.

Nie było czasu — *periculum in mora* — mógł pan Borski rozmyślić się.

MICHAŁ.

A ja już mu raiłem Frezerównę!...

ORKISZ.

To niech się z nią Jasiek ożeni! Podobno ma dla niej sentyment!

MICHAŁ.

Hę?

ORKISZ.

Rzecz prosta!

MICHAŁ.

U waści prosta, ale u mnie *totaliter* krzywa! Cyler wziął talary, a kurka nie strącił i Jasiek ostał królem zamiast mnie — Stach ożenił się zamiast Jaśka...

ORKISZ.

A Jasiek ożeni się zamiast Stacha! i wszytko *in ordine*! toć to dziecko wasze i to dziecko! Stacha ślachta lubi — dobrze go przyjęła...

MICHAŁ.

Dobrze go przyjęła? tak? co? dobrze?

ORKISZ.

Kochają go jak brata! Odprowadzili go tu z honorem do waszmości — przyjachali tu z państwem młodem!

MICHAŁ.

Z państwem młodem!?

ORKISZ.

Splendor dla waszmości...

(idzie ku drzwiom na prawo i wprowadza STACHA Z HANKĄ*).*

HANKA.

(klękając ze STACHEM *przed* MICHAŁEM*)*

Pobłogosław nam panie ojcze!

STACH.

Pobłogosław panie ojcze!

MICHAŁ.

(patrzy, ociera łzy)

Ha! Dziej się wola nieba! Niech wam Bóg błogosławi!

(ściska ich)

ORKISZ.

(wychodzi na lewo i po chwili wraca z JANEM*)*
(do JANA*)*

Trzeba kuć żelazo póki gorące!

JAN.

Witajcie, witajcie i przyjmijcie braterskie gratulacyje!

Czołem mościa pani bratowo!

(ściska JANA, *całuje* HANKĘ *w rękę — rozmawia z nimi)*

MICHAŁ.

Janie! Stachu! trzeba poprosić panów ślachtę!

ORKISZ.

Jeno z kuchnią będzie trochę krucho na dwie kompanije!

MICHAŁ.

Trzeba uprosić u sąsiadów *auxilium*...

JAN.

Poproszę Frezerów...

MICHAŁ.

(macha ręką)

Ha! idźżesz już do tych Frezerów. Widzę, że ci tam pilno i miarkuję teraz, że to była cała konspiracyja na mnie! Ale niech się tam już dzieje dalej wola Boża! *(*JAN *wybiega).* Trzeba poprosić także panów Styczyńskiego, Danigiela,

sąsiadów... jak wesele, to wesele! Stachu! mości Orkisz! poproścież panów ślachtę!

(STACH *i* ORKISZ *idą na prawo)*

HANKA.

Bogu chwała niech będzie, że pan ociec taki na nas łaskawy! Raczcież jeszcze panie ojcze jutro pojachać z nami do mojego ojca do Borów, żeby nie był markotny.

MICHAŁ.

Oczywista, moja droga pani synowo! pojedziemy, pojedziemy złożyć panu Borskiemu rewerencyją i wyrazić dzięki za szczęśliwą domów konjukcyją...

(ORKISZ *wprowadza z prawej strony* HAŁASIŃSKIEGO, PROSZOWSKIEGO, SZABLIŃSKIEGO *i paru innych ślachciców)*

MICHAŁ.

(podczas tego do HANKI*)*

Pięknie mi jejmościanka wyglądasz, moja synowo! *(do szlachty)* Witajcie wasze miłoście!

PROSZOWSKI *(i inni).*

Czołem, czołem, mości panie!

ORKISZ.

(przedstawiając)

Panowie sąsiedzi: pan Hałasiński, — pan Proszowski — pan Szabliński — pan Bułat...

HAŁASIŃSKI.

Qua krewny panny, w tem ważnem *momentum*
oddajęć pannę *nomine parentum*,
gdy się odprawił ślub już uroczysty,
waszym miłościom w związek wiekuisty!
A gratuluję z serca tego ożenienia,
związku z rodziną znaną wkoło z mienia,
powinowatą z wszytkimi klejnoty,
głośną z rycerskich czynów, męstwa, cnoty!
Strzała Amora czynną w tym terminie,
od niej i Fillis, Galatea ginie,
Hymen serdeczne fortece zdobywa
i tryumfalną chorągwią powiewa,
(do państwa młodych)
tak Amorowi ulegliście wzajem, —
my Hymenowi homagjum dajem:
Bóg wam błogosław ze swojej skarbnicy,
tego przyjaciół gromada wam życzy!

MICHAŁ.

(wzruszony)
Wasze miłoście... wstydliwa wymowa
z nieudolności z trudem szuka słowa,
aby waszmościom przy tak wielkiem święcie
wyrazić afekt ojca w tym momencie,
kiedy syn jego *ex voto fatorum*
szczęśliwie *metam* znajduje *votorum*
et cordis — kiedy w dom znaczny przyjęty
w nierozerwalny wchodzi związek święty
w ród jaśniejący męstwem, urzędami,
zasługą przodków, zgodą z sąsiadami,

w szeroko znany dom obywatelów!
Powinny oblig do stóp rodzicielów
ichmościów Borskich składam tu imieniem
własnem i syna — bo afekt milczeniem
snadniej niż mową oddać się nam zdało,
a w krótkich słowach wyrzec można mało!

PROSZOWSKI.

Gratulujemy! Wiwat para młoda!
Niechaj im kwitnie wiecznie miłość, zgoda!

(Podczas tych przemów słychać z lewej strony sceny cichą melodyę poloneza — ANDRZEJ *z dwoma chłopcami w zielonych fartuchach wynoszą z prawych drzwi tace ze szklankami, dzbankami, butelkami i t. d.).*

STACH.

Dziękuję panom! Dziękuję stokrotnie!

MICHAŁ.

Raczcie waszmoście bawić się ochotnie!
Nie wszytko na to jest przygotowane...
*(*SENIOR *ze* STRZELCAMI *wchodzą z lewej strony)*

SENIOR.

A to wieść niespodziewana! Przyjmijcież gratulacyje braci kurkowych! To dobrze, bardzo dobrze, fortuna widać wybrała sobie *domicilium* u państwa Kowalskich!

(Podczas gdy SENIOR *i* STRZELCY *ściskają ręce państwa młodych i witają się z* HAŁASIŃSKIM, PROSZOWSKIM *i resztą szlachty, których wza-*

jemnie gestami przedstawia ORKISZ *i* STACH — *wchodzą w głębi* JAN, FREZER, FREZEROWA, SALUSIA, — *za nimi wnoszą kosze i tace naładowane).*

JAN.

Ichmoście państwo Frezerowie przynoszą po sąsiedzku ratunek mizeryej naszej kuchni...

FREZER.

Gratuluję waszmości, panie Michale, drugiej łaski bożej! Ktoby się spodziewał, że tak rychło będzie weselisko w tym domu!

MICHAŁ.

Dziękuję, dziękuję waszym miłościom — jest na szczęście muzyka —

ORKISZ.

A prowijantu widzę nie braknie —

MICHAŁ.

Więc w Bogu dzięki nadzieja, nie powinno zbywać na ochocie!

(Wchodzą MIESZCZANIE *i* MIESZCZANKI — *witają się).*

MIESZCZANIN I.

Wieść po całem mieście roznosi famę o nowym królu kurkowym i o weselu!

MIESZCZANIN II.

Gratulujemy! gratulujemy!

MICHAŁ.

Dziękuję waszmościom — dziękuję!

(Wita się z przybyłymi — JAN *rozmawia z* FREZERAMI *i* SALUSIĄ*).*

FREZEROWA.

(do FREZERA*).*

Choć nie ostałam przez ciebie królową, będę przynajmniej dla króla teściową!

(muzyka gra szumnego poloneza).

HAŁASIŃSKI.

A nuże waszmoście do polskiego!

(postępują pary poloneza: HAŁASIŃSKI *z* FREZEROWĄ, MICHAŁ *z* HANKĄ, JAN *z* SALUSIĄ, *inni z innemi* MIESZCZKAMI*).*

HAŁASIŃSKI.

Vivat, vivat, para młoda!
Niech im świeci zawsze zgoda,
Vivat domów konjunkcyja!
Niech im szczęście zawsze sprzyja!

JAN.

Vivat, vivat, rżnij kapela!
Zdrowie panny rodziciela!
Pana z Borów niech Bóg wspiera,
Vivant Bory et caetera!

ORKISZ.

Vivat, vivat, król kurkowy,
Niechaj długo żyje zdrowy,
O królowę się postara,
Będzie znowu druga para!!

ZASŁONA SPADA.

KONIEC.

DRUKARNIA
W·L·ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE